W GDAŃSKU

Stron 8 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem Cena 75 gr.

# WIEŚ

## tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:
A. JASKIEWICZ — A w kraju czekają na książki E. SZUSTER — Ekipa łączności
J. SZCZEPAŃSKI — Etnograficzne badania kultury... ST. PIĘTAK — W Brzezinach
K. KOSZUTSKI — Gdzie rok trwa 150 dni K. PAŁYS — Chłopscy racjonalizatorzy
A. DRAWICZ — Jeszcze o „Pokoleniu" J. PELC — O robotnikach i dyrektorze...
G. TIMOFIEJEW — 40-lecie „Prawdy" M. INGLOT — Za 38 równoleżnikiem
CZ. JURKOWSKI — Powiat zamojski uruchamia rezerwy
E. KŁOCZEWSKI — O właściwą rolę inwestycji...

Rok IX Warszawa, dn. 11. V. 1952 r. Nr. 19 (353)

STANISŁAW PIĘTAK

## PISMO NA WIEŚ

**Młoda jaskółka dotyka w locie skrzydłem wód**
**i zatrwożona w pogodne niebiosa pierzcha.**
**Tak i ty, drogi przyjacielu, biegniesz, i znów**
**jakby od lęku w piersi brakło ci powietrza.**

**Zatroskany długo idziesz przez wieczorne mgły,**
**przystajesz rankiem na ojcowskiej, dawnej ziemi,**
**i myśli nie łagodzą w męce zrodzone sny,**
**a jednak wstajesz, zdążasz krokami spiesznymi...**

**W świetlicy po robocie słuchając muzyki,**
**wspomnisz czas dawnej walki swej jak młodości łzę.**
**Boisko w słońcu rozprzestrzeniać będą krzyki.**
**Ujrzysz syna, który z pieśnią szedł będzie na sen.**

**Już zasypiając, usłyszysz jego miękki szept.**
**O wynalazkach mówił będzie, o strumieniach**
**wezbranych, którym ludzie prostują wczorajszy bieg.**
**Noc... Powiedzie w przyszłość cię przyjazna już ziemia.**

**Stanisław Piętak**

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

## POWRÓT DO GNIAZDA

**Bohater mój jak dziś pamięta**
**Lata, gdy bawił się nad Srebrną.**
**Wiosną topiono w niej szczenięta,**
**Z dna jak wrak sterczy końskie żebro.**
**Cuchnęła, w ruder gąszcz wciśnięta,**
**Pokryta skrzekiem jak twarz febrą...**
**Z papieru, z drewek łódki klecił.**
**Z nim inne robotnicze dzieci.**

**Ta grzybnia domów zwie się Piachy.**
**Omszałe gonty, dziuple okien,**
**Skąd widać przez zaklęsłe dachy,**
**Jak fort, stojące czworobokiem**
**Hale fabryki „ciężkich machin".**
**Kryzys ją nękał; stąd przed rokiem**
**Ojciec z kotlarni był zwolniony.**
**W biurze szeptano, że czerwony**

**Znał swa mieścinę, skwer, wyboje,**
**Mieszczucha nastrój poobiedni.**
**Spoglądał z tęsknym niepokojem**
**Na dwie rudery dwóch szkół średnich,**
**Gdzie w sumie siedemdziesiąt dwoje**
**Chodziło dzieci. W dzień powszedni**
**Śpi miasto, budzi się z letargu**
**W dni świąt państwowych i w dzień targu.**

**Z mym młodym bohaterem potem**
**Bywało — słyszę — rozmaicie.**
**Surową mu stawiała notę**
**Szkoła kształcąca nieźle — życie.**
**Jak ojciec tęgo robił młotem,**
**Był w partii, czytał — również skrycie,**
**Wiele miast poznał, lecz na pewno**
**Myślą przebywał rad nad Srebrną.**

**Aż w roku pięćdziesiątym drugim**
**Przyjeżdża do rodzinnych kątów**
**Technik z awansu, a z zasługi**
**Kierownik, stary lew transportu...**
**Mija „tych lepszych" ulic smugi,**
**Gdzie stoją pod draperią gontów**
**Mieszczańskie domy. Oto w szkle ich**
**Dziś mech przegląda się z kolei.**

**Lecz gdy na Piachy i nad rzekę**
**Przyszedł, by w zmarszczkach jej odnaleźć**
**Cień łódki, którą przed ćwierćwiekiem —**
**Z dzieciństwem wraz — zabrały fale,**
**Patrzy: junaczek dłonie lekkie**
**Flancują astry, gdzie kisł zalew**
**Od lat, a dziś bez sentymentu**
**Strącony w świeży rów z cementu.**

**A nieopodal stąd, na rynku —**
**Zaczyn ludowej przebudowy —**
**Opalizuje bielą tynków**
**Blok ZOR-u w stylu pałacowym,**
**Stało tu niegdyś dziewięć szynków**
**I wiele krzywych bud czynszowych.**
**Z tym blokiem, patrz, współzawodniczy**
**Technikum dzieci robotniczych.**

**W zgiełku fabryki pilnie łowił**
**Rytm wzrostu. Niegdyś — ledwie żywa,**
**Gdyż bank z wyroku giełd i zmowy**
**Od maszyn twórczą dłoń odrywał.**
**Więc, że w nim znalazł wyraz nowy —**
**Źle, gdy zastygły kształt roztkliwia —**
**Tym mocniej kocha i tym śmielej**
**Miasteczko, jakich dzisiaj wiele.**

**Mińsk Maz. 1952**

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

*Przed ogólnokrajowym zjazdem korespondentów chłopskich*

## „Czujka wystawiona na pierwszej linii frontu"

KIEDY Łuciński, syn chłopa zamieszkałego w powiecie szczecińskim, pisał pierwszą w swoim życiu korespondencję do „Trybuny Wolności", nie wiedział — jak wspomina — „gdzie stawia się kropkę, gdzie przecinek". Ukończył zaledwie 3 klasy szkoły powszechnej, podobnie jak wielu synów chłopskiej biedoty nie umiał władać wprawnie piórem.

Foto CAF

A jednak wziął je do ręki, nie mógł patrzeć spokojnie na okradanie PGR-u w Chodzowie, skąd „wprawny" buchalter czerpał „pieniądze jak kubłem wodę ze studni".

Łuciński nie był pewien skutków swojej korespondencji, nie był nawet pewien swojego losu. Zatrzymywali go wieczorami na drodze spekulanci, którzy puszczali w obieg kradzione pieniądze, przynosił pocztylion anonimy z groźbami, wysyłane z okolicznych miasteczek. Straszono go prokuratorem, obiecywano aresztowanie i uwięzienie. Tymczasem „Trybuna Wolności" sprawdziła wiarogodność korespondencji, ogłosiła ją, a szkodnikami zajęły się terenowe władze naszego państwa.

W atmosferze pierwszej korespondencji Łucińskiego dwie są sprawy niezmiernie ważne. Po pierwsze skreśliła je chłopska ręka w warunkach ostrej walki klasowej. Korespondencja terenowa, demaskowanie wroga na łamach prasy stało się w masach popularną formą tej walki.

Łuciński pisał po raz pierwszy w życiu przeszło 3 lata temu, kiedy śmiałe, zdecydowane wystąpienie przeciwko klasowemu wrogowi — jakże często — groziło utratą życia. W fakcie tym leży bohaterstwo wielu korespondentów.

„Mama mnie kocha — pisze Stanisław Markwas korespondent „Rolnika Polskiego" — to bardzo się boi, żeby mnie kto nie zabił, prosi mnie, żebym zaprzestał tej roboty, no a mnie nie wzruszają kułackie groźby, bo wam się przyznam, że jak nie mam trudności w swoim życiu, to mi się zdaje, że mam już 100 lat, że wszystko jest lekkie i łatwe, no i że nie warto żyć".

Obaj dobrze wiedzieli, że wróg nie przebiera w środkach. Dla zlikwidowania korespondenta gotów jest użyć nie tylko groźby, przekupstwa, czy szantażu, ale chwyta skrytobójczo za rewolwer. I ten właśnie fakt zamiast odstraszać — działał i działa przeciwnie: hartuje korespondentów, kształtuje ich nieugiętą polityczną i moralną postawę. W jednej z odezw do robotników Lenin pisał: „Pokój jest wykluczony: kułaka można, i łatwo można, pogodzić z obszarnikiem, z carem i klechą, nawet jeśli się poważnili, ale z klasą robotniczą — nigdy"...

Nasz terenowy korespondent — „czujka wystawiona na pierwszej linii walki" w paktowanie z wrogiem się nie bawi.

A teraz sprawa druga. Markwas wspomina, że pierwsze jego korespondencje, pisane jeszcze z ławy szkolnej, podstawówki pod Ostrołęką, nie odnosiły spodziewanego skutku. Zapłakana matka błagała, by zaprzestał pisania, po całej okolicy chodziły słuchy, że młodego ZMP-owca dosięgnie niebawem kara za ataki na bogaczy wiejskich. Pierwsza jego skuteczna korespondencja pojawiła się w roku 1950. W tym samym czasie buchalter z Chodzowa i jego poplecznicy, zdemaskowani przez Łucińskiego, ponieśli zasłużoną karę.

Pierwsze zwycięstwa obu korespondentów, piszących z odległych od siebie stron kraju nie przypadkowo zbiegły się z historycznymi wydarzeniami roku 1950. Nasza władza ludowa powiązała się jeszcze w silniejszy sposób z milionowymi masami miast i wsi poprzez utworzenie jednolitych organów władzy terenowej — Rad Narodowych, powiązała się z pracującymi chłopami wykrystalizowaną już siecią instytucji politycznych i gospodarczych. III Plenum KC PZPR zagwarantowało korespondentom opiekę ze strony Partii, wyszedł dekret w sprawie rozpatrywania skarg i zażaleń. Odtąd dopiero w pełnym, szerokim zakresie rozpoczęła się na łamach prasy szczera, serdeczna codzienna i cogodzinna rozmowa władzy ludowej z masami za pośrednictwem korespondentów.

Jakiż jest tej rozmowy zasadniczy cel?

*

Siła naszego aparatu władzy polega na tym, że jest on ściśle związany z masami, że łączy w sobie dwa widzenia spraw kraju, bynajmniej nie przeciwstawne, lecz uzupełniające się. Jedno, niejako odgórne, kierownicze, drugie — oddolne widzenie rzeczywistości przez masy pracujące.

A słabość leży w tym, że naszą pracę zniekształcają, wypaczają i sabotują tkwiące jeszcze tu i tam w aparacie władzy wrogie elementy biurokratyczne, dawny oficjalista dworski w PGR-ze starannie ubrany w kostium ideologiczny szczerego demokraty, „przyjaciela ludu z dziada pradziada", spekulant w GS-ie, czy „nowy pozytywista" nie rozumiejący potrzeby stałej walki o podnoszenie świadomości politycznej mas.

Aparat władzy jest oczywiście konieczny do utrzymania. „Bez aparatu — mówił Lenin — dawno byśmy zginęli. Bez systematycznej i uporczywej walki o usprawnienie aparatu zginiemy, zanim stworzymy bazę socjalizmu".

Korespondent, którego nigdy nie widzieliśmy, piszący z dalekiej wsi, gdzie nigdy nie byliśmy, jest właśnie frontowym żołnierzem tej niewątpliwie trudnej walki o poprawne funkcjonowanie tysięcy instytucji, organizujących nasze społeczne życie.

Nagrodzony ub. roku orderem Polski Odrodzonej korespondent „Gromady" i terenowy pisarz „Wsi" — Seweryn Skulski zdemaskował ostatnio nieuczciwych pracowników GS-u w Jastrzębiu (pow. Lipno). Uprawiali oni pewien nadzwyczaj dla nich korzystny proceder, sprzedawali mianowicie chłopom mokry węgiel, a na czarnym rynku spekulowali nadwyżkami powstałymi z tego oszustwa.

Mieszkańcy przysiółka Charytany (gm. Laski, pow. Jarosław) upoważnili swojego korespondenta do publicznego odkrycia w ich imieniu przestępstw gospodarczych sklepowego GS-u Franciszka Wierzbickiego, znanego alkoholika, rozprowadzającego cenniejsze towary „za małą dopłatą" pomiędzy bogatych „kumotrów".

Są to sprawy, jakich tysiące przewija się nieustannie przez łamy prasy robotniczo - chłopskiej, sprawy — wydawać by się mogło — dokuczliwe, ale drobne. Tymczasem jest akurat przeciwnie. Nie chodzi już w tej chwili o to, że gromada upoważnia coraz częściej korespondenta, by w jej imieniu uderzył w złodzieja społecznego dobra, że można już mówić o coraz wyraźniejszej jedności moralno - politycznej pracującego chłopstwa, przeciwstawiającej się nadużyciom władzy i wyzyskowi. Idzie o zaakcentowanie faktu, że **chłopi nie dyskredytują, nie łamią przez swego korespondenta naszego aparatu władzy, lecz chcą go przeobrazić, usprawnić, nadać mu socjalistyczną treść.** Krytyka ma tu tylko pozornie ujemny charakter. W gruncie bowiem rzeczy oznacza votum zaufania dla naszej władzy, gdyż tylko tej pracy i organizacji w którą się wierzy i kocha towarzyszy czujność i troska mas.

Pomówimy z kolei o innym, nie mniej ważnym sensie rozmowy władzy kierowniczej i mas, prowadzonej nieustannie na łamach prasy robotniczo-chłopskiej. Powstawmy pytanie: dlaczego masowej, idącej z dołów tysięcy gromad krytyki nie można w żaden sposób zastąpić — jak mówił Józef Stalin — „krytycznym trajkotaniem od góry"?

Foto CAF

W jednej z gromad gminy Morawica pod Kielcami zdarzył się charakterystyczny wypadek, opisany przez korespondenta. Przeważająca we wsi biedota chciała dla celów gospodarczego ożywienia wykorzystać naturalne zasoby ziemi. Chłopi zgłosili do GRN projekt wydobywania wysokowartościowej gliny a następnie produkcji cegieł, pustaków i kraężników betonowych. Zgłosili projekt w nadziei, że nie tylko postawią sobie nową, piękną murowaną wieś, ale że równocześnie dostarczą materiałów budowlanych powstającym osiedlom robotniczym. Jak dotąd nic z tego nie wyszło, ponieważ GRN nie chce podjąć chłopskiej inicjatywy tłumacząc, że skoro glinę wydobywali za sanacji kułacy, to wznowienie produkcji oznaczałoby kontynuowanie polityki gospodarczej z okresu Polski kapitalistycznej.

Warto by się zastanowić nad wydarzeniami w morawickiej gminie i to nie ze względu na stanowisko GRN, której ojcowie zapewne już naprawili swój błąd. Zainteresujmy się gospodarczą inicjatywą chłopów.

„W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej władza należy do ludu pracującego miast i wsi" — mówi artykuł 1 projektu Konstytucji. W języku praktyki terenowej oznacza to m. i., że chłopa pracującego, współgospodarza kraju, powinien cechować gospodarski stosunek do społecznego dobra, gospodarska troska o należyte jego wykorzystanie. W gminie Morawica chodziło o zużytkowanie gliny na cele socjalistycznego budownictwa, w Budzyniu powiatu międzychodskiego o leżące odłogiem 273,61 ha ziemi. W gromadzie Węglewo posiadają chłopi 12 siewników, ale nie zadali sobie trudu dokonania remontów. I gdyby nie gospodarska troska małorolnego chłopa, który zaalarmował listem redakcję, w pole wyruszyłby wiosną jeden siewnik. Wyjechały jednak wszystkie.

I znowu mieliśmy przed oczyma wydarzenia na pozór małe, zwykłe interwencje w sprawach na oko nie najważniejszych. A przecież w nich właśnie **wyraża się dorastanie mas chłopskich do zarządzania, współgospodarowania** węglem w GS-ie, finansami PGR-u, siewnikami, ziemią w gromadzie, bogactwami naturalnymi, dobrem społecznym.

Foto CAF

Sołtys Jan Jessa z Jabłonowa odnotował z prawdziwą dumą w katowickim „Korespondencie" swoje zeszłoroczne osiągnięcia produkcyjne: „Czy kto wierzy, czy nie wierzy — to powiem wszystkim, że na moim słabym gruncie osiągnąłem 32 q owsa z jednego ha. A to dlatego, że jesienią zaorałem głęboko, na wiosnę przyszła podorywka i rozsiałem wapno nawozowe. Później zabronowałem i w czterech dniach zasiałem ziarno sposobem rzędowym. Po wzejściu owsa puściłem na 5 cm bronę posiewną i rozsiałem 50 kg saletrzaku na hektar. — A jak przyszło lato, to przychodzili ludzie na moje pole i dziwili się, że ta sama ziemia i to samo słońce co u sąsiadów — ale zboże inne".

Korespondencja Jessy jest wyrazem tej samej gospodarskiej troski o dobro, które służy narodowi. Jest nim 8 ha jego własnej ziemi. Sołtys jabłonowski z radością stwierdził we wstępie listu do redakcji, że obowiązki wobec państwa ludowego wykonał z nawiązką. Mąka z jego żyta zasiliła stołówki robotnicze, jego tuczniki powędrowały na socjalistyczny rynek handlowy.

„Wieś" drukowała z końcem minionego i początkiem bieżącego roku kilkadziesiąt listów, pisanych przez nagrodzonych chłopów, którzy, podobnie jak Jessa, wyróżniają się gospodarską praktyką, osiągają wysokie plony. Tysiące pełnych dumy listów chłopskich z terenu walki o wyższą

*(Dokończenie na str. 2-ej)*

## „Czujka wystawiona na pierwszej linii frontu"

*(Dokończenie ze str. 1-ej)*

wydajność z ha świadczą, że masy chłopskie zaprawiają się w wykonywaniu władzy nad ziemią, coraz lepiej niejako — zarządzają ziemią. A za pośrednictwem gazety, kolektywnego organizatora przodownictwa w produkcji, upowszechniają zdobyte doświadczenia i osiągnięcia. Wysoka kultura rolna oznacza nie co innego jak właśnie współudział w rządzeniu państwem, które stawia sobie za jeden z podstawowych celów bieżącego etapu zlikwidowanie sprzeczności pomiędzy szybkim rozwojem socjalistycznego przemysłu a zacofanym rolnictwem.

Tak więc dopiero krytyczne i pozytywne, mówiące o osiągnięciach korespondencje, razem wzięte, wyrażają główny sens toczących się co dnia i co godzina rozmów władzy ludowej z masami. Sama bowiem krytyka nie wystarczy. Józef Stalin mówił na XV Zjeździe WKP(b), że ani oddolne, ani też odgórne „trajkotanie" nie wypędzi biurokratyzmu, jeżeli masy „nie mają pewnego poziomu kultury dającego możność, stwarzającego chęć, umiejętność kontrolowania aparatu państwowego od dołu, własnymi siłami samych mas robotniczych".

Troska o właściwe przechowywanie ziarna kwalifikowanego, nawozów i cementu w magazynie PZGS, walka o pełne wykorzystanie POM-owskich traktorów, czujne kontrolowanie trójek gromadzkich na wiosnę przed siewami, agitowanie za pełnym wykonaniem planu kontraktacji — słowem zasadnicza treść korespondencji terenowych świadczy o tym, że chłopi pracujący osiągają stopień kultury, który umożliwia „nabycie nawyków i umiejętności wnikania w sprawy rządzenia krajem", świadczy o powolnym jeszcze ale już wyraźnym realizowaniu leninowskiego hasła rewolucji kulturalnej.

✻

Uważny czytelnik naszej robotniczo-chłopskiej prasy terenowej dostrzeże na pewno organizującą rolę współczesnej gazety w stosunku do korespondentów. Rola ta nie polega tylko ani przede wszystkim na przygotowywaniu sobie terenowych współpracowników na przyszłych dziennikarzy-redaktorów. Korespondenci w świetle definicji stalinowskiej to przede wszystkim „dowódcy proletariackiej opinii publicznej". Tkwić mocno w terenie, odnotowywać nie w ogólnym, lecz konkretnym, gromadzkim, gminnym i powiatowym zakresie fakty „rzeczywistego budownictwa nowego życia" — oto ich zadanie.

Nie ma w Polsce gminy bez kilku, lub nawet kilkunastu korespondentów. Piszą oni do rożnych pism masowych, często nie znając się nawet, podnoszą nieraz te same tematy, wskutek czego korespondencje powtarzają się. Za jedno zagadnienie bierze się kilku na raz, inne pozostają przemilczane. Organizująca rola gazety i redakcji polega na tworzeniu kolektywów, gminnych Klubów Korespondentów.

Niedawno minęło pół roku pracy Klubu Korespondentów „Sztandaru Ludu" w gminie Wyryki, powiatu włodawskiego na Lubelszczyźnie. I jakież rezultaty? Każda instytucja w tej gminie — spółdzielnia produkcyjna, PGR, POM, SOM, GS, organizacje polityczne i społeczne, partia, straż pożarna, szkoła i poczta posiada swojego korespondenta. Praca ich biegnie w oparciu o plan ustalany na wspólnych zebraniach korespondentów. Nie trudno się domyśleć, że gmina należy do przodujących w powiecie. Kolektyw podejmuje zbiorowe zadania, zilustrował np. ostatnio gruntownie stan przygotowań do akcji siewnej. Czujne oczy wyrykowskich korespondentów nie przepuściły ani jednemu uchybieniu w pracy, nie pominęły ani jednego osiągnięcia przodujących chłopów. Hilary Skiba skończył właśnie pracę, omawiającą w związku z „Dniami Kultury" rozwój czytelnictwa w gminie, podkreślił rolę bohaterskich listonoszy w walce o prenumeratę prasy robotniczo-chłopskiej. Stefan Węgiera podsumował przebieg akcji siewnej w gminie. Łachnicki i Hoszczoruk omówili pomoc socjalistycznych instytucji w gminie udzieloną chłopom w czasie prac wiosennych...

W województwie poznańskim ruch korespondentów wzbogacił się o jeszcze jedno cenne doświadczenie. Na terenowe zjazdy chłopów-przodowników dostarczyli korespondenci zredagowane przez siebie, pierwsze w Polsce powiatowe gazetki. Drukowano je w małych miasteczkach, nieraz przy wyjątkowo niesprzyjających, prymitywnych warunkach. A jednak wszędzie, do Kalisza, Turka, Ostrowa, Kępna, dotarły we właściwym czasie.

Rola „Gazety Poznańskiej" wyraziła się tu nie w przeniesieniu korespondentów na szczebel powiatowy, nie na swoistym oderwaniu ich od terenu, lecz na zorganizowaniu ich wysiłku, zebraniu na łamach powiatowych gazetek ich doświadczeń, by mogli je poznać współgospodarze powiatu — przodujący chłopi i przenieść na gromady.

Jest to nowa, wyższa forma wiązania gazety i korespondenta z najaktywniejszą częścią chłopskiego świata pracy. I te doświadczenia wskazują dalsze drogi ruchowi korespondentów.

**Wiesław Jażdżyński**

**SERGIUSZ JAŚKIEWICZ**

# A W KRAJU CZEKAJĄ NA KSIĄŻKI...

*Nasze zadanie polega na tym, aby jak najszersze masy pracujące w Polsce stały się świadomymi współtwórcami nowego życia, życia którego hasłem jest dziś upowszechnienie kultury, dźwignięcie jej na wyższy poziom, udostępnienie jej wszystkim ludziom pracy...*

**(Bolesław Bierut)**

✻

KARTKA mówi pozornie tylko o piotrkowskich robotnikach. O ich nie przypadkowym a świadomym stosunku do spraw kultury swego terenu. Niewprawne robotnicze ręce wypisały na niej krótkie, proste słowa: „Dla uczczenia Święta Pierwszomajowego — zobowiązujemy się w związku z Miesiącem Oświaty, Książki i Prasy, rozprowadzić na terenie Zakładów Szklarskich „Feniks" 200 egzemplarzy książek, wzywając do podjęcia podobnego zobowiązania załogę Piotrkowskiej Fabryki Sklejek"... Na innej kartce papieru — identyczne w treści oświadczenie aktywu robotniczego piotrkowskiej huty szkła „Hortensja" z wyzwaniem rzuconym pod adresem Zakładów Drzewnych i z zobowiązaniem rozprowadzenia 500 egz. książek na terenie huty. Wreszcie trzecia kartka mówi, że robotnicy Fabryki Sklejek podejmują rzucone im wyzwanie, rozprowadzają książek 300 i rzucają hasło współzawodnictwa w upowszechnianiu czytelnictwa na cały Piotrków.

Rzecz w tym, że kartki owe mówiąc o inicjatywie piotrkowskich robotników — mówią równocześnie o dokonującej się u nas rewolucji kulturalnej, o narastaniu inicjatywy, wskazań i żądań szerokich mas ludowych pod adresem naszych wydawców i redaktorów, literatów i „naczelników od kultury", pod adresem instytucji powołanej do organizowania kolportażu i planowania polityki rozwoju czytelnictwa — jakościowo i ilościowo — jaką jest u nas „Ruch". Niewielkie, nie zawsze najbielsze kartki papieru, zawierające tego rodzaju treść — mówią o INICJATYWIE KULTURALNEJ MAS.

Ten sam wydźwięk odnajdziemy bez trudu w deklaracji łódzkiej młodzieży ZMP-owskiej. „Rozprowadzimy w Miesiącu Oświaty, Książki i Prasy 200.000 nakładu taniej a dobrej książki. Pójdziemy z książką pod dachy robotniczych izb, wyjdziemy z nią na ulice i place. W ten sposób, w ten właśnie a nie inny — uczcimy 60-lecie Prezydenta i Święto Majowe... Rozniosła się wieść od Koła do Koła, aż inicjatywie dziewcząt i chłopców, luźno rzuconej myśli naprzeciw wyszedł Zarząd Łódzki ZMP, podchwycił myśl, nadał jej realne kształty, koordynując ją z potrzebami i możliwościami...

✻

...Pewnego dnia zatrzymałem się przed kioskiem „Ruchu" na Widzewie. Dla łodzianina słowo „Widzew" jest symbolem — jak słowo „Bałuty", jak słowo „Chojny". Widzew to dzielnica zamieszkała przeważnie przez robotników. Za szybkami czerniły się tytuły Biblioteki Wydawnictw Prasowych, popularnego wydawnictwa książkowego, znanego dziś już w każdym zakątku kraju. Krótka rozmowa z kioskarzem i przejrzenie kilku tytułów było bardzo pouczające: w poszczególnych tytułach wydawnictw kilkutomowych— brakowało tomów. Był pierwszy — nie było drugiego. Był drugi — nie było pierwszego... Czy można zatem mieć pretensję do „Ruchu"? Przecież nakład został doprowadzony do kiosku w porządku, komplecie... Więc o cóż chodzi?

O to, że najlepszy oddział „Ruchu" nie wykona należycie swych zadań a wręcz przeciwnie — „nawali" gwałtownie i całkowicie, jeśli choćby na bardzo krótko zaniedba terenową pracę operatywną, jeśli nie dopilnuje roboty upolityczniającej, uświadamiającej wśród ludzi swego aparatu kolporterskiego, jeśli nie będzie stale i systematycznie prowadził polityki wzmacniania swego z natury rzeczy szczupłego aparatu operatywnego — kadrami kolporterów zawodowych, a zwłaszcza kolporterów społecznych. Analiza pracy łódzkiego Oddziału PPK RUCH za miesiąc ubiegły wskazuje, że obok placówek poważnie przekraczających ilościowe i jakościowe plany — istnieją placówki nie dociągające nawet 50% planu. I co się okazuje? Zawsze, bez wyjątku są to te placówki, które od dłuższego czasu z niedbalstwa albo niedopatrzenia nie prowadzą pracy z kolporterami, nie mobilizują ich, nie szkolą... Nikt też nie przeszkolił kioskarza z Widzewa, który sprzedaje książki jak lody — porcja po porcji za jedyne 2.40, nieważne jaki tom, nieważne jaki tytuł... I na tym tle można mieć takie czy inne zastrzeżenia do „Ruchu", boć jego to robota... Z tym, że oczywiście najważniejszą będzie sprawa stanu jakościowego i ilościowego kadry kolporterskiej w zakładach pracy. O wiele ważniejszą od sprawy kadry komisowej (kioskarzy). Ale popatrzmy wokół i odpowiedzmy sobie na płaszczyźnie własnych spostrzeżeń i doświadczeń. Czy naprzeciw oddolnej inicjatywie kulturalnej mas, czy naprzeciw oddolnemu wzrostowi czytelnictwa, choćby w największych zakładach pracy — nie mówmy o kioskach—zawsze wychodzi naprzeciw odpowiedni kolporter, odpowiedni instruktor? Czy PPK „Ruch" albo „Dom Książki" — nadążają za młodzieżą ZMP-owską, za piotrkowskimi robotnikami z „Feniksa" lub Hortensji", za tysiącami, dziesiątkami tysięcy podobnych? Nie. Nie zawsze. Bo na to trzeba d o c i e r a ć do czytelnika, badać jego p o t r z e b y, badać jego z a i n t e r e s o w a n i a, badać zachodzące wokół z m i a n y s t r u k t u r a l n e, systematycznie b a d a ć powody wszelkich, choćby najbardziej terenowych zmian na lepsze i zmian na gorsze w rozwoju czytelnictwa, a potem wyciągać wnioski i kształtować dalszą politykę kolportażu.

✻

Na jednej z odpraw w łódzkim Oddziale „Ruchu" przeprowadzano analizę przyczyn, dla których w miesiącach letnich następuje spadek w prenumeracie prasy i książek. Z analitycznego raportu dowiedzieliśmy się na tej odprawie, że „w miesiącach letnich dają się zauważyć wahania w nakładach i niedociągnięcia w pracy". Zgoda. Ciekawe jednak — dlaczego? I dowiedzieliśmy się, że „przyczyną tego były wahania i niedociągnięcia w pracy rozdzielń". Czy to jest analiza? Z tegoż sprawozdania moglibyśmy dowiedzieć się dalej, że w okresie letnim „następuje spadek prenumerat na wsiach". Dlaczego? Z powodu „prac na roli". „Sztandar Młodych" zaś spada w tym samym okresie z powodu... wakacji. A więc — spadek następuje bądź to na skutek zwiększenia się pracy lub też na skutek... zmniejszenia się poczucia obowiązków ze strony pracowników „Ruchu". Czy to analiza? Raczej stwierdzenie faktu, który właśnie dopiero trzeba „rozgryźć". Trzeba by porozmawiać z tymi ludźmi na roli i z młodzieżą, wyjeżdżającą na wakacje. Wtedy by się doszło do właściwych powodów spadku i można by snuć właściwe wnioski. Dopóki tego nie ma — nic się nie zbuduje stwierdzeniem, że „wahania spowodowane są wahaniami, niedociągnięcia — niedociągnięciami" ani wnioskami, że należy temu przeciwdziałać nie dając konkretnej pomocy zawodowemu i społecznemu aparatowi kolporterskiemu.

✻

Trzeba pamiętać, że polityka kolportażu, praktyczne dotarcie z właściwym tytułem do czytelnika — nie jest czymś co da się raz na zawsze wykoncypować i ustalić. Trzeba pamiętać, że jeśli jeszcze wczoraj na terenie powiatu piotrkowskiego najbardziej poczytnym pismem była „Gromada" a dziś notuje się spadek jej poczytności — to nie wystarczy stwierdzić, że jest to wahanie i niedociągnięcie, któremu trzeba przeciwdziałać, a wyraźnie: na skutek przemian w strukturze zawodowej ludności związanych z inwestycjami Planu Sześcioletniego nastąpiło na tym terenie przegrupowanie, mające szalony wpływ na kształtowanie się czytelnictwa. Okoliczna ludność wiejska, budująca dziś wielki kombinat piotrkowski, zatraca specyficzne w poprzednich warunkach zainteresowanie „Gromadą" a zaczyna przejawiać zainteresowanie wydawnictwami traktującymi np. o budownictwie i technice. Jeśli się taki fakt spostrzeże a w konsekwencji natychmiast pomyśli o tym, by nasycić teren tytułami wg. jego nowych potrzeb — to czytelnictwo będzie nie tylko utrzymywało się na poziomie, ale będzie permanentnie wzrastało. Jeśli zaś takiej analizy nie przeprowadzi się — w efekcie „Gromada" czy wydawnictwo podobne spadnie a wobec niedocieralności innych tytułów — czytelnictwo zacznie się kurczyć. Zupełnie tak samo, jak gdyby „Dom Książki" podczas kiermaszowych Dni Książki wystawił w Operze Warszawskiej stoiska z wydawnictwami traktującymi o agrobiologii radzieckiej, a stoiska w skierniewickiej SGGW obesłał wyłącznie „Moim życiem w sztuce" Stanisławskiego...

✻

Oddział Łódzki PPK „Ruch" przed rokiem był jednym z najlepszych Oddziałów tego przedsiębiorstwa na terenie całego kraju. Dziś zajmuje miejsce ostatnie, podczas gdy na pierwsze miejsce wyszedł Białystok. Generalna Dyrekcja Przedsiębiorstwa bardzo ostro oceniła ten stan rzeczy. W wewnętrznym biuletynie możemy przeczytać uwagę o „sytematycznym niewykonywaniu planu nakładów", o „złym stylu i metodach pracy" itd., itd. jak również zdanie: „Jak długo, towarzysze z Łodzi, chcecie utrzymać to „zaszczytne miejsce". Zupełnie słusznie, że się fakt tak znamienny komentuje głośno i otwarcie, nazywając rzeczy po imieniu, dopingując kolektyw do walki o zmianę na lepsze. Ale czy z jednej strony nie powinna Generalna Dyrekcja, w taki lub inny sposób, wyraźnie nakreślić jakich trzeba metod pracy — jakiego stylu i na czym zło obecne polega? I czy nie zasługiwałby na specjalne badania problem ustalenia dlaczego konkretnie, bez żadnych przenośni i ogólników właśnie Białystok ma w tej chwili 1 miejsce, a Łódź ostatnie? Czy nie ma tu przypadkiem wpływu fakt niewątpliwie poważniejszych zmian w strukturze ludnościowej województwa łódzkiego, niż w woj. białostockim? Może tak jest, a może nie — lecz właśnie dlatego i tu trzeba by — naszym zdaniem — analizy. Czy łódzki Oddział „Ruchu" wraz z Pocztą nie powinien z kolei ze swej strony konkretnie w terenie, w oparciu o wypowiedzi żywych ludzi, zbadać dlaczego czytelnictwo w kutnowskim (wg. danych z ub. roku) rozwija się ponadplanowo a w identycznym na pozór strukturalnie łowickim „leży"? Czy wolno nad tymi rzeczami przechodzić do porządku dziennego? Naszym zdaniem rzeczy te trzeba badać bardzo drobiazgowo. Postawmy kwestię: Dlaczego Piotrków rozpoczął samorzutnie akcję z racji Miesiąca Oświaty, Książki i Prasy — a nie uczynił tego np. Sieradz? Dlaczego w Moszczenickich ZPB w tymże Piotrkowskim, co 32 pracownik zaledwie prenumeruje „Głos Robotniczy" a w sąsiednich zakładach co 2, przy czym ani w jednym ani w drugim przypadku, zgodnie z polityką władz i partii nie ma żadnego administracyjnego nacisku? Dlaczego na sąsiadujących z sobą terenach — w jednym miejscu notuje się ok. 200% wykonania planu w kolportażu taniej książki BWP a w drugim — 30%?

Pewnie, że przyczyn jest wiele. Tkwią nie tylko w klasowej i zawodowej strukturze powiatów, decyduje tu nie tylko większa lub mniejsza aktywność organizacji masowych (też zawsze do wyjaśnienia — dlaczego większa, lub dlaczego mniejsza...), nie tylko skład personalny kadr kolporterskich... Może być wiele, wiele nieprzewidzianych często zupełnie przyczyn. Dlatego badać, badać, badać — jest najważniejszą rzeczą. I to, żeby wyniki takich badań nie zostawały w protokołach idących ad acta!

✻

Rozwój kultury i oświaty łączy się ściśle i zależy w pełni od rozwoju sił wytwórczych, które z kolei rozwijają i zmieniają zainteresowania czytelnicze. Rewolucja kulturalna jest konsekwencją i jedną z charakterystycznych cech rewolucji polityczno - ekonomicznej jaka się u nas dokonuje. Aktywny udział mas określa jej charakter. Inicjatywa kulturalna mas nakłada zwiększające się z każdym dniem obowiązki na „Ruch" i na „Dom Książki" tak samo jak na teatr, film, inteligencję twórczą. Inicjatywie mas trzeba wyjść naprzeciw. Trzeba wyciągnąć, trzeba podkreślić, trzeba podbudować, pokierować i należycie wyzyskać postępujący w Polsce wzrost kulturalny jednostki i kolektywu, trzeba się z inicjatywą kulturalną mas **spotkać...** Powiedział Lenin, że prasa jest dla kraju budującego socjalizm, tym czym rusztowanie dla nowobudującego się domu. Powiedział Stalin, że prasa winna wzrastać nie codzień a z godziny na godzinę, gdyż jest najostrzejszym orężem partii. Powiedział Prezydent Bierut: że kultura przestała być zdobyczą tylko pewnych warstw społecznych i że my, ludzie nowej Polski, stawiamy sobie ambitne zadanie „aby najwyższe zdobycze kultury przenieść do mas".

**Sergiusz Jaśkiewicz**

**JAN SZCZEPAŃSKI**

# Etnograficzne badania nowych form kultury w Związku Radzieckim

Przebudowa materialnych podstaw bytu społeczeństwa radzieckiego z kolei stała się podstawą rewolucji w dziedzinie kultury duchowej. Nowe formy ustroju gospodarczego i społecznego umożliwiły powstanie i rozwój nowych form życia kulturalnego. Proces narastania tej nowej kultury w Związku Radzieckim jest szczególnie wyraźny i występuje specjalnie ostro na przykładzie tych narodów i ludów azjatyckich, które wskutek Rewolucji Październikowej dokonały wielkiego skoku historycznego przechodząc od feodalno-rodowych form społecznych do budowy społeczeństwa socjalistycznego. Lecz proces ten zarysowuje się również i na przykładzie wsi rosyjskiej, która po kolektywizacji wstąpiła w nowy etap rozwojowy, zdobywając dobrobyt materialny i wznosząc się na wyższy poziom kulturalny, oraz na przykładzie rosyjskiej klasy robotniczej.

Instytut Etnograficzny Akademii Nauk ZSRR zorganizował szerokie badania mające na celu opisanie tego procesu powstawania nowej kultury w nowych warunkach życia materialnego i społecznego, przedstawienie prawidłowości jego rozwoju i wykrycie czynników i sił kierujących tym rozwojem. Stąd w latach powojennych zorganizowano liczne wyprawy terenowe, które przeprowadzały badania w kołchozach i wielkich centrach przemysłowych. Na sesji naukowej Instytutu w kwietniu 1950 r. poświęconej podsumowaniu wyników tych badań, przedstawiono zasięg, metody i dotychczas osiągnięte rezultaty. Ekspedycje Instytutu prowadziły prace badawcze w latach przed 1950 r. w przeszło 70 kołchozach, położonych w różnych krajach Związku, obejmując kołchozy 27-miu różnych narodowości, począwszy od kołchozów rosyjskich, ukraińskich, do kołchozów środkowej Azji, dalekiej północy itd. Równocześnie prowadzono badania nad warunkami życia i kulturą klasy robotniczej w Moskwie, Leningradzie, Ukrainie, Uralu i okręgach naftowych Baszkirii. „Głównym celem podjętych prac — pisał kierownik tych badań robotniczych N. N. Czeboksarow — było wydobycie nowych cech i właściwości życia i kultury rosyjskiej klasy robotniczej powstających w epoce radzieckiej na bazie budownictwa socjalizmu i zakładania podstaw społeczeństwa komunistycznego".

Wyniki tych stale prowadzonych prac badawczych publikowane są w wydawnictwach Instytutu. W toku badań wypracowują się nowe metody i udoskonala się technika badań.

✻

Jak już wspominałem we wstępie badania te posiadają bardzo szeroki zakres i prowadzone są intensywnie od szeregu lat. Dla przykładu rozpoczniemy od przedstawienia opisu kołchozów kirgizkich dokonanego przez **S. M. Abramzona** pt. **W kirgizkich kołchozach Tiań-Szania** i zamieszczonego w Etnografii Radzieckiej w r. 1949, w którym autor zestawia zasady organizacji, warunki życia, gospodarkę i osiągnięcia kołchozów kirgizkich ze stanem i poziomem ich życia i położeniem mas ludności tych regionów przed rewolucją i przed kolektywizacją. Opis rozpoczyna się od skreślenia obrazu gospodarki rolnej i hodowlanej i związanej z tym organizacji pracy. Przejście od koczownictwa do zespołowej gospodarki osiadłej i przejście od tradycyjnego ustroju rodowego do socjalistycznej organizacji pracy wymagało intensywnej pracy instytucji partyjnych i rządowych. Lecz gdy tylko praca organizacyjna została przeprowadzona i rozpoczęto nowy tryb prac rolnych i hodowlanych, to wprowadzenie nowej techniki uprawy maszynowej i metod naukowych hodowli owiec, bydła, koni i wielbłądów, dało mocne podstawy nowej organizacji społecznej. Intensywna praca oświatowa i wzrastający dobrobyt stały się czynnikami spajającymi nowe formy życia zbiorowego.

Przede wszystkim zmienił się wygląd i typ mieszkań. Miejsce przenośnych jurt zajęły stałe osiedla trwałych zabudowań, ułożone w ulice, z ogrodami i parkami. W centrum rejonu powstało osiedle posiadające pomieszczenia instytucji rządowych i partyjnych, kino, świetlicę, drukarnię, dom dziecka, magazyn spółdzielni, szkołę średnią z internatem, szpital i ambulatorium. Przysiółki kołchozowe rozrzucone po stepach i dolinach górskich, posiadają domy z cegły lub ubitej gliny, pobielonej wewnątrz i zewnątrz. Jurta służy tylko jako letnie mieszkanie dla pracowników obsługujących latem pastwiska.

Wysoko rozwinięta hodowla i znaczne obszary pól uprawnych zapewniają dobrobyt kołchoźników kirgizkich. Np. kołchoz „Kizil-Kirgizstan" skupiający 120 rodzin posiadał w r. 1948: 10.711 owiec i kóz, 583 koni, 433 sztuk bydła rogatego i 16 wielbłądów, nie licząc bydła posiadanego w indywidualnych zagrodach kołchoźników. Zmieniły się również rasy pogłowia i miejsce miejscowych owiec zajęły obecnie rasy dające jakościowe wysoką wełnę. Uprawa pól objęła znaczne obszary. Przed rewolucją tylko 2,8 proc. obszaru uprawiano, w r. 1947 już trzy razy więcej, zapewniając wystarczającą ilość zboża potrzebną dla wyżywienia ludności. Decydujące znaczenie dla rozwoju rolnictwa posiada MTS rejonu Dżumgalskiego, której traktory i kombajny wykonują ponad 50 proc. prac rolnych.

W ubraniu kołchoźników spotykają się dawne ubiory tradycyjne z wytworami przemysłu fabrycznego. Podobnie przedstawia się sprawa odżywiania. Zniknął niedostatek zarówno w jednej jak i w drugiej dziedzinie. Wraz z podniesieniem dobrobytu podniósł się poziom życia kulturalnego. W kołchozach powstały świetlice wzgl. punkty świetlicowe. Decydujące znaczenie posiada jednak rozwój sieci szkół. Szkoła cieszy się opieką zarządu kołchozu i szacunkiem ludności. Opuszczanie zajęć szkolnych zdarza się bardzo rzadko. Likwidacja analfabetyzmu i wzrastająca znajomość języka rosyjskiego przyczyniły się do przełamania izolacji kulturalnej mieszkańców odległych zakątków. Kołchozy rejonu posiadają stałe, codzienne połączenie samochodowe i pocztowe ze stolicą republiki. Dom dziecka, kino i radio przyczyniają się do szybkiego wyrównywania poziomu kulturalnego i przezwyciężania zacofania. Z nauką w praktyce zetknęli się Kirgizi w opiece lekarskiej, w szpitalu, punktach zdrowia, opiece nad matką i dzieckiem. W uporczywej pracy przezwyciężono zabobony i ciemnotę w tym zakresie. W każdym osiedlu kołchozowym istnieją żłóbki. Zorganizowanie w r. 1948 turnieju szachowego, w którym wzięło udział 30 uczestników ma również swoją wymowę.

Zmiany społeczne sięgnęły głęboko w życie rodziny, wyzwalając kobietę z niewoli tradycji, ustroju patriarchalnego i religii muzułmańskiej. Kobiety stały się ważną siłą w życiu kołchozów. W czasie wojny utrzymały produkcję kołchozu, a po wojnie biorą czynny udział w kierowaniu jego sprawami. Wyrasta młode pokolenie kirgizów, kończące szkołę siedmioletnią, garnące się do nauki i opanowania techniki.

Przytoczony w zarysie opis stara się dać monograficzny obraz wszystkich dziedzin życia kołchozu, nie wydobywając i nie opracowując specjalnie jakiegoś zagadnienia. Chociaż większość prac etnografów radzieckich badających życie kołchozów stara się w ten sposób przedstawiać wyniki swoich prac, to jednak spotykamy i prace innego rodzaju.

✻

Badania obejmują także kołchozy rosyjskie. Jako przykład przejrzyjmy opis kołchozu podmoskiewskiego przedstawiony w pracy **G. S. Masłowej: Kultura i byt podmoskiewskiego kołchozu** (kołchoz imienia Stalina rejonu Łuchowickiego obwodu moskiewskiego) (Etnografia Radziecka, 1951, zesz. 1). Kołchoz obejmuje 360 rodzin i liczy 1156 członków. Gospodarka kołchozu nastawiona jest przede wszystkim na produkcję mleka. Liczba krów dojnych przekracza 300, ilość ogólna bydła rogatego ponad 600. Przeciętny udój roczny wynosi 4500 kg rocznie od krowy. Kołchoz położony nad rzeką Oką rozporządza olbrzymiemi łąkami i pastwiskami. Ponadto w kołchozie rozwinęły się i inne gałęzie produkcji: hodowla świń, owiec, koni i kur; uprawy rolne stoją na wysokim poziomie. Własna elektrownia dostarcza prądu (m. i. dla elektrycznych dojarek), poza tym istnieje własna mleczarnia, młyn, warsztat mechaniczny. Prąd elektryczny obsługuje 16 zakładów produkcyjnych.

Praca produkcyjna wyznacza organizację kołchozu. Istnieją trzy brygady hodowlane i pięć rolnych. Każda brygada rolna uprawia 60 ha pola pod orkę i 130 ha podczas żniw. Brygady liczą 50 do 60 ludzi. Co wieczór na odprawie brygadierów przewodniczący kołchozu ustala plan pracy na dzień następny. Brygady odbywają systematycznie swoje narady produkcyjne. W kołchozie rozwinięto szeroko współzawodnictwo pracy, zwłaszcza wśród dojarek, które walczą o uzyskanie 6000 kg mleka rocznie od każdej krowy. Przykładem dojarka Doszczenowa, bohater socjalistycznej pracy, która w r. 1950 zobowiązała się osiągnąć udój 7000 kg rocznie od krowy. Przeprowadza ona doświadczenia w karmieniu krów i współpracuje z Instytutem Pasz. Do przodującej kadry należy również pastuch kołchozu Fiedułow (fot. Sow. Etn. 1950, zesz. 1, str. 46) odznaczony orderem bohatera socjalistycznej pracy, który położył wielkie zasługi przy rozwoju hodowli. Pracą i organizacją kołchozu kieruje organizacja partyjna i komsomolska.

Przekształcenia w procesie produkcji pociągnęły za sobą zmiany warunków życia przede wszystkim w mieszkaniach, ubraniu i odżywianiu. Osiedle kołchozu posiada wybrukowane ulice, wodociągi, elektryczne oświetlenie, na placu znajduje się głośnik. Domy kołchoźników budują się obecnie ze szlakobetonu, dachy pokrywa się łupkiem. Przeważają jeszcze domy drewniane, zachowujące stary styl rosyjski, bogato ozdobione rzeźbami, jednakże w urządzeniu wnętrz unowocześnione. Elektryczność i radio znajdują się w każdym domu. Często spotyka się własne biblioteki. Znaczne zmiany i postęp obserwujemy także w zakresie wyżywienia. Wynagrodzenie za pracę dostawiane częściowo w naturze, dostatecznie zabezpiecza wyżywienie rodziny. Np. rodzina Jurewych, która w składzie 4 osób przepracowała w r. 1949, 1750 dniówek, otrzymała 15 ton produktów, a w tym 1,5 tony ziarna. Ponadto rodziny hodują na działkach przyzagrodowych jarzyny i ziemniaki, które jednak w znacznej mierze sprzedają. Każda rodzina prócz mleka od własnej krowy otrzymuje wynagrodzenie w produktach mlecznych. Mięso zjawia się w postaci cielęciny, baraniny i wieprzowiny. Oka dostarcza ryb. Ulubionym napojem jest herbata. Odzież członków kołchozu nie różni się od odzieży mieszkańców Moskwy.

Średnia liczebność rodzin w kołchozie wynosi 3 — 4 ludzi. Zdarzają się rodziny liczące do 12 członków, lecz są one wyjątkami. Bazą materialną rodziny są zarobki członków. Często spotyka się rodziny, w których rodzice pracują fizycznie ,a dzieci są pracownikami umysłowymi kołchozu. Położenie kobiet i ich rola w życiu zbiorowości niczym nie różni się od roli mężczyzn. Wychowanie dzieci ułatwiają żłobki i przedszkola, posiadające własne domy. Kołchozy rejonu zbudowały dom dla sierot po poległych w ostatniej wojnie. Kołchoz posiada kasę wzajemnej pomocy i każda rodzina dotknięta wypadkiem losowym może liczyć na jej pomoc.

Zasadnicze zmiany zaszły w życiu kulturalnym wsi kołchozowej. Zlikwidowano analfabetyzm i wprowadzono obowiązkowe nauczanie w szkole siedmioklasowej. Przy szkole istnieje biblioteka licząca 5000 książek. Centrum kulturalnego życia stanowi świetlica, posiadająca salę mogącą pomieścić 450 ludzi, dalej sale zajęć dla różnych zespołów, pokój agitatorów itp. Tu odbywają się zebrania, przedstawienia teatralne, występy baletu i in. Z wiejskiej biblioteki liczącej 4000 dzieł, korzysta 550 czytelników. Biblioteka posiada wszystkie wybitne dzieła literatury rosyjskiej i narodów radzieckich. Gazety spotyka się we wszystkich rodzinach. W r. 1950 kołchoz prenumerował 469 egz. gazet codziennych. Wielu członków kołchozu należy do korespondentów gazet. Klub sportowy liczy 62 członków. Wolny czas poświęca się szachom, kobiety zajmują się wyszywaniem, mężczyźni skupiają się koło herbaciarni kołchozu, która staje się drugim klubem. Obchody 1-majowe, rocznice Rewolucji skupiają całą wieś w jednej manifestacji, lecz prócz tego kołchoz i brygady mają swoje własne uroczystości, takie jak ogólne zebranie sprawozdawcze, zamknięcie roku obrachunkowego itp. Ważną rolę w życiu społecznym gra pieśń; obok starych pieśni ludowych zjawiają się nowe pieśni o nowym życiu i nowych osiągnięciach.

✻

Przedstawiliśmy dwie prace z kilkudziesięciu dotychczas opublikowanych Jak widzimy badania terenowe etnografów radzieckich odznaczają się wielkim rozmachem, obejmują szerokie dziedziny życia i wytyczają sobie wielkie cele. Pracom badawczym towarzyszy uporczywa walka o udoskonalenie metod badawczych, o dokładniejsze rejestrowanie zjawisk, o wszechstronniejszy obraz badanych procesów, o uogólnienie teoretyczne zbadanych faktów. Badania te są dla nas przykładem, aby pilnie obserwować i badać dokonywaną u nas przebudowę społeczeństwa, aby tę przebudowę prowadzić z pełną samowiedzą.

**Jan Szczepański**

STANISŁAW PIĘTAK

# W BRZEZINACH

## (Fragment opowiadania o świetlicy gromadzkiej*)

STARY Sędkowski już drugie szkiełko zakładał, lampa filowała, świeciła wciąż nienajlepiej. Izba zapełniła się ludźmi, cienie chybotały po ścianie.

Przybył oto prezes gromadzkiego ZSCh, Feliks Golisz, mężczyzna krępy, z rzędnącymi już, jasnymi włosami, chłop, który z niejednego pieca chleb jadł, zanim osiedlił się w Brzezinach. Zarząd ZSCh był zresztą w komplecie, przy stole siedział przecież młody sołtys, sprawujący funkcję sekretarza, a niedaleko progu, podpierając drzwi, stał łysy skarbnik, Łysio Władysław, mężczyzna jak najdalszy od wszelakiej gorączki, poważny, prawie flegmatyczny.

Pojawiła się również młodzież zetempowska, izba ożywiła się, śmiech znienacka zabrzmiał wesoły, zaczepny. Na łóżku usiadła ładna, siwooka Zosia

Foto Węglowski

Sędkowska, młodziutka żona sołtysa, a obok na ławie przycupnęli, szesnastoletnia o dziecinnej, zapuchniętej jakby od płaczu twarzy, Jadwinia Łysiówna, rozrosły jak tur, z konopiastą czupryną Sławomir Marian Zalewski.

Zabrakło z aktywistów świetlicy Frankiewicza Zygmunta, robotnika z gorzelni w Sęczynie, przewodniczącego miejscowego koła ZMP, (nie było go tego dnia we wsi), zabrakło Wójcika Wiadka, Pszczółkowskiej Feliksy i tych najmłodszych trzynastoletnich entuzjastów. Golisza Romka i Mirowskiego Gienka — ano musieli przysiąść fałdów, musieli odrobić na jutro lekcje, to było ważniejsze.

Czekaliśmy jeszcze na Łukasiaka Zygmunta, kierownika zespołu dramatycznego, ale oto i on nadszedł. Drobny z postawy, zadzierżysty wpadł pośpiesznie, jakby go goniono, do izby, z miejsca przestrzeń uniosła się żywszymi głosami.

— O tym, że odnieśliście sukces wystawieniem sztuki „Grube ryby" Bałuckiego, że zwyciężyliście w festiwalu powiatowym ZSCh, to już wiem — począłem mówić wolno — interesuje mnie przecież więcej strona społeczna waszej pracy, w jakich warunkach ożyła świetlica, jakie są wasze plany na przyszłość.

— To zasługa Łukasiaka, że sztuka tak pięknie się udałał — ktoś krzyknął.

— Po kolei, po kolei, przyjdzie i na Łukasiaka czas — mówcie o początkach świetlicy.

Golisz w tej chwili podniósł się i machając czapką począł mówić: — Zaczęło się od tego, że Gminna Rada Narodowa podarowała nam barak poniemiecki w r. 1949. Ano przywieźliśmy go z Dobrzelina i zestawiliśmy na placu, który oddał na ten cel gromadzie Wąsowski Zygmunt.

— Jak to oddał? Wytłumaczcie.

— Sprawa jest jasna, najzwyczajniej w świecie dał — wtrącił się sołtys. — Niedużo jest tej ziemi, kilkanaście arów, ale przy drodze w dobrym miejscu. Wąsowski to chłop mądry, rozumie rzecz, my młodzi tylko natrąciliśmy mu o tym, zgodził się zaraz.

— Czynny jest w świetlicy? — zapytałem cicho. Chłop, który kiedyś zabijał sąsiada o kawałek miedzy, dziś darowuje ziemię gromadzie, fakt wydał mi się godny zapamiętania, godny największej uwagi.

— Jakby nie, to członek ZSCh, społecznik.

Rozmowa nasiąkła naraz wieloma dygresjami i dopiero po chwili powróciła do porzuconego głównego tematu.

— We własnym zakresie zestawialiśmy barak — podjął znowu swe opowiadanie Golisz. — Dwóch tylko majstrów, murarz Kujawa Jerzy i cieśla Lebioda Józef pracowali za pieniądze. Cóż, narobili się niemało, ale my nie mieliśmy im czym zapłacić, czekali do tego czasu.

— Zapomniałeś powiedzieć, że Kujawa ze swego zarobku darował teraz na świetlicę 60 złotych, a Lebioda był też niegorszy, ofiarował na ten sam cel jedną swoją dniówkę — odezwał się powoli i poważnie stojący ciągle przy drzwiach skarbnik Łysio.

— Właśnie, właśnie — potwierdził Golisz. — W baraku odbywały się zebrania gromadzkie, zabawy zetempowskie, raz nawet odegrano w nim sztukę partyzancką, którą pan Łukasiak robił z młodzieżą, ale na dobrą sprawę to się nikt nim rzetelnie nie opiekował. Nie uszczelniony dach przeciekał i butwiał, szyb w oknach nie było, gdyby tak działo się kilka lat, budynek uległby zniszczeniu.

— A cóż robił ZSCh?

— Spał — zawołał ktoś z tyłu. — Co taki dawny prezes robił — nic.

— No, winien był i powiatowy Zarząd — stwierdził sołtys.

— Przyjechał tu kiedyś instruktor, obejrzał wszystko dokładnie, cuda naobiecywał, że pieniądze na remont się znajdą — nic z tego jednak nie wyszło.

— A ja mówię, że to prezes Mirowski winien! — krzyczał ten sam głos. — A, przecie tych pieniędzy jeszcze nie oddał, co je kiedyś wziął ze składek.

— E, Franek, co ty, przecież on je spłaca...

Do stołu zbliżył się naraz poważny, stary Sędkowski i chwilę stał w zadumie.

— W samej rzeczy, proszę pana, — rzekł do mnie — robota w świetlicy dopiero ruszyła po nowych wyborach, kiedy pan Golisz został prezesem. Wardęcki dopomógł, młodzież się zapaliła — i na plon nie trzeba czekać.

— Wardęcki? Kto to? Nie wspominaliście o nim!

— Przewodniczący Gminnej Rady Narodowej, chłop z naszej wsi, nasz człowiek.

— Wybory odbyły się w listopadzie ub.roku — ciągnął Golisz nie bez zniecierpliwienia, że mu przerywają. — Postanowiliśmy radykalnie przystąpić do naprawy stanu, jaki był. Świetlica prosiła się o remont co żywo. Na pomoc władz powiatowych ZSCh nie mogliśmy na razie liczyć, postanowiliśmy zakrzątnąć się sami w gromadzie, by złu jakoś zaradzić. Ogłosiliśmy zbiórkę gromadzką na ten cel.

— Razem zbiórka dała 730 złotych — podał radosnym głosem wiadomość sołtys.

— Nie inaczej — powiedział Golisz. Co miało kilkadziesiąt złotych ZMP dało nam, do tego od władz ZSCh dostaliśmy 1200 złotych, na sztuce zarobiliśmy też spory grosz i oto przystąpiliśmy do roboty. Materiał na cały remont już mamy, jest smoła, papa, szkło okienne, stół, lepik, są gwoździe i inne drobniejsze rzeczy. Oczywiście wszystkiego teraz zrobić przy świetlicy nie mogliśmy, bo zima, przebudowę pełną przeprowadzimy zaraz, gdy tylko nastaną ciepła. Na razie zdziałaliśmy to, co najpotrzebniejsze. Oszkliliśmy świetlicę, zbudowaliśmy scenę, kupiliśmy ławki, zabezpieczyliśmy dach, już nie będzie gnił na słocie.

— Rzecz jest więc skończona, czekacie wiosny.

— Jest jedno „ale" — zawołał Golisz i podszedł ku mnie do stołu. Dopiero teraz zauważyłem, że jego oczy są przekrwione od niespania, czy choroby. — Deski na podłogę są nam potrzebne, a nie możemy ich dostać. Byliśmy w Gminnej Radzie, odesłali nas do powiatu. Ślęczeliśmy tam i nic nie załatwiliśmy. Powiedzieli nam, że deski są przeznaczone dla gospodarstw, a nie dla świetlic. Radźcie, co robić, my musimy je mieć.

— Ba, gdybym wiedział.

Moje zdanie ich nie uspokoiło, przeciwnie rozżaliło. Zaczęli się jeden po drugim skarżyć że instytucje nie odpowiadają im na listy — i na wiele innych rzeczy, które ich zdaniem są takie proste.

— Na przykład z tą radiofonizacją,— szepnął Golisz.

— Co to za sprawa?

Napisaliśmy o zradiofonizowaniu świetlicy, dostaliśmy odpowiedź, że przeprowadza się to według ułożonego planu, że nasza próba będzie wzięta pod uwagę w następnych latach.

— Tak się musi dziać moi drodzy.

— Ale nasza praca będzie przez to kuleć. Nie zrobimy tego, co moglibyśmy! — krzyknął Golisz.

— Faktycznie, gdyby tak wieś była zelektryfikowana, zradiofonizowana, inne byłyby możliwości — powiedział mały Łukasiak i też zbliżył się do stołu.

— Dlaczego przedtem nie wnosiliście podań, nie staraliście się?

Bezradnie rozłożyli ręce.

— Hej! — westchnął ktoś.

— Gadali, że nie potrzeba, że koszty — inny dodał już całkiem cicho.

II

— Więc jak te „Grube ryby"? Nie przesadzacie z tym waszym sukcesem? — odezwałem się po chwili milczenia.

Młoda Zosia Sędkowska oburzyła się, zbladła. — Jakże to przesadzamy! Graliśmy u nas, przyszło około 400 ze wsi i okolicy, ludzie się nie pomieścili — graliśmy dla robotników w Dobrzelinie, też sala trzęsła się od śmiechu. Nie dosyć na tym, wystawialiśmy jeszcze sztukę w Oporowie, no i wreszcie w Kutnie przed Sądem Konkursowym.

— Dobra to robota, ja panu powiem — wtrącił się Łysio do rozmowy i zatar. ręce. — Byli nasi w Dobrzelinie, w zamian przyjechali do nas robotnicy ze swoim przedstawieniem „Wodewil warszawski". Też fajna rzecz. Teraz taka wymiana będzie coraz częstsza. Poweselą się oni u nas, nauczymy się my od nich czegoś.

— Słusznie — byle tylko jeździć do siebie wzajemnie z czymś bardziej serio — chciałem rzec, lecz ugryzłem się w język, aby nie psuć na razie moim rozmówcom dobrego nastroju.

— Nie, nic nie mam przeciw sztuce — rzekłem — bardzo ją lubię, kiedyś się na niej sam świetnie bawiłem, widząc wielkiego aktora, Frenkla w roli Wistowskiego, wydaje mi się jednak, że jakoś do zagadnień wsi dzisiejszej ona nie przystaje.

Zachmurzyli się chłopi, pomarkotnieli. Jedynie Zosia Sędkowska, rezolutna, inteligentna osóbka nie dała za wygraną, poczęła zapalczywie bronić „Grubych ryb". — Bo jest wesoła, a wesołości potrzeba — mówiła. — Zresztą nie mieliśmy innej, mieliśmy „Świętoszka", ale on był za trudny. Że

Foto CAF

my nie zamierzamy tylko figlować, to pan się może o tym dobrze przekonać, teraz planujemy wystawienie sztuki „Kąkol i pszenica" — to rzecz, która traktuje o życiu nowej wsi, pan przecież wie!...

— Właśnie, trzeba i coś aktualnego, żywo ludzi obchodzącego — szepnąłem.

— A pan gra w sztuce? — spytałem przechadzającego się po izbie z wypiekami na twarzy Golisza.

— Gram — uśmiechnął się.

— Żona nie zabrania?

— Nie. Dlaczego?

— Pan zaś tylko reżyseruje? — zwróciłem się Łukasiaka.

— Poza tym odwalam rolę dziadka — doparł czarny zwinny jak wiewiórka Łukasiak.

Chłopi zaśmieli się. — Trzeba widzieć jak on to robi, jak oni to robią ze Sławkiem. Wskazali przewyższającego wszystkich o głowę, barczystego Sławomira Mirowskiego.

Rozmowa nabrała żywszego, swobodniejszego charakteru. Dowiedziałem się teraz, że prócz sztuki grający odśpiewali pieśń pióra wszechstronnie uzdolnionego Łukasiaka i zaciekawiłem się tym faktem mocno.

— No, to jest pieśń, która tłumaczy — zająknął się Łukasiak — tłumaczy, dlaczego zagraliśmy tę sztukę, jej sens dla dzisiejszego człowieka.

— Bardzo byłbym ciekaw usłyszeć.

— W takim razie najlepiej pójść do świetlicy, zaśpiewać — powiedział mocnym głosem sołtys i podniósł się z krzesła.

Propozycja wszystkim przypadła do serca, w jednej chwili jak gęsi wybiegliśmy z izby na ulicę.

Noc była błękitna, mroźna, iskrząca się od gwiazd, mróz wcale nie zelżał. Ktoś potknął się o kamień na drodze, w ciemności zabrzmiał jednocześnie swawolny, szczęśliwy śmiech którejś z dziewczyn.

— Przydałoby się jednak światło.

— Żarówki rozjaśniłyby świat od krańca do krańca. Milczkiem, coś mrucząc, przeszedł naraz koło nas wysoki chudy mężczyzna.

Sołtys podskoczył teraz do mnie, w jego ruchach, w jego głosie zabrzmiały nutki dowcipne, ironiczne, o które go nie podejrzewałem.

— Przeszedł nasz wróg postępu — żartował, nazwiska nie usłyszałem. — Zamyka się w stodole i młóci od rana do zmroku cepem. Na obiad nawet mu szkoda pójść. Traktora to boi się jak szatana.

Stanęliśmy już przed barakiem. Golisz otwarł drzwi, pozapalał lampy i weszliśmy do środka. Już pierwszym rzutem oka stwierdziłem niezwyczajną schludność świetlicy. Sala miała jakieś 14 metrów długości i osiem szerokości, na środku stał piecyk żelazny, obok ławy, w głębi mieściła się scenka zgrabna, lilipucia.

— Malutka — westchnąłem — nie zawadzacie głową o wiązanie?

— Właśnie z tym bieda — powiedział Golisz, musimy ją poszerzyć, desek, desek potrzeba. Robotnicy z Dobrzelina, gdy tu grali, też mieli z tymi wiązaniami utrapienie. Jeden nabił sobie guza.

Łukasiak już ustawił ludzi na scenie i co chwila jak kapelmistrz unosił rękę do góry.

— Którą scenę zagrać? — zwrócił się nagle do mnie.

— Może scenę oświadczyn.

Posypały się ze sceny cięte, wesołe, dowcipne słowa Bałuckiego, który wyśmiewał, sam się przy tym śmiejąc, galicyjskich potentatów.

Trzeba było przyznać — Łukasiak, Sławek Mirowski i młoda Zosia Sędkowska grali wybornie, gest ich był nie wymuszony, wyczuwali komizm zdań i sytuacji jakby byli aktorami z urodzenia.

Pogratulowałem im szczerze sukcesu.

— Nie dziwię się, że zwyciężyliście na festiwalu powiatowym, gracie jakbyście mieli kilka lat pracy za sobą w zespole.

Zeskoczyła już ze sceny zarumieniona Zosia Sędkowska, zeskoczył też pobladły trochę z przejęcia, z lekka spocony mały Łukasiak.

— Pan się świetnie zna na prowadzeniu dramatycznego zespołu — gdzie pan nabył tej wiedzy?

Łukasiak zarumienił się jak panienka.

— Ja chodziłem przed wojną do gimnazjum do Łodzi pięć lat, a potem to już zajmowałem się tą robotą.

— Bez wujka nie obejdą się żadne ludowe uroczystości — zawołała Zosia

*(Dokończenie na str. 6-ej)*

*) Opowiadanie napisane na zamówienie Lud. Spółdz. Wydawn.

KRYSTYNA PAŁYS

# CHŁOPSCY RACJONALIZATORZY

CHŁOPSKI racjonalizator wykorzystuje nie tylko wiadomości usłyszane w świetlicy ZSCh, przez głośnik radiowy lub wyczytane w prasie, ale prowadzi doświadczenia w uprawie i hodowli na własną rękę i nie z byle jakimi wynikami. W kilkunastu miastach powiatowych Lubelszczyzny przemawiali na wiosennych naradach mistrzowie urodzaju i z tego co mówili, można się było zorientować, jakie zdolności, jaka cierpliwość, jaka pomysłowość, ile samodzielności składa się na osobowość racjonalizatora spod chłopskiej strzechy.

Na wiosennych naradach powiatowych zapoznałam się z kilku takimi racjonalizatorami. Do niektórych nawet pojechałem. Korciło mnie, aby o nich napisać. „Wieś" jeszcze jesienią sygnalizowała przybór nowej kadry chłopskich działaczy, właśnie przodowników w produkcji rolnej, właśnie dobrych gospodarzy. Racjonalizatorzy stanowią jak gdyby dowódców tego frontu.

Kiedy jednak zaczęłam zbierać obserwacje i robić zapiski, spostrzegłam, że gromadzę materiał na konto założonego (a bliżej nie sprecyzowanego) pojęcia „racjonalizator chłopski" i w ten sposób do niczego nie dojdę, choćbym nawet szczegółowo opisała 50-ciu mistrzów różnych urodzajów.

W czym tkwiła trudność? „Racjonalizator" — to pojęcie przeniesione na wieś z przemysłu, z fabryk. Przeniesione — o czym nie wolno zapominać — z przemysłu socjalistycznego. Na czym więc polega różnica? Po pierwsze na tym, że racjonalizatorzy wyrastają i racjonalizatorstwo rozwija się w pracy **uspołecznionej.** Ten typ pracy daje największy bodziec do masowego nowatorstwa. Ten typ pracy pozwala z kolei na szybkie i pełne upowszechnienie każdej odkrytej racjonalizacji w produkcji przemysłowej.

Po drugie — produkcja przemysłowa rozwija się na zasadzie **wyodrębniania specjalności** a w nich poszczególnych części całego procesu produkcyjnego.

A na wsi indywidualnie gospodarujących chłopów? Nie ma pracy uspołecznionej i nie ma wyodrębnionych specjalności.

Oto gwóźdź. W jakim więc stopniu „racjonalizator chłopski" jest **przenośnią,** w jakim zaś słusznie nosi ten tytuł?

*

Taki Szwajewski. Mieszka w Brzezicach, w gminie Piaski, nie tak daleko od Lublina. Czy nie nazwiecie go racjonalizatorem albo doświadczalnikiem albo mistrzem urodzajów, kiedy Wam powiem, że na swoich 5 ha (z reformy rolnej) zebrał po przeliczeniu na hektar 600 q buraka cukrowego, 42 q jęczmienia i 30 q żyta? Że zobowiązał się założyć ogródek miczurinowski i 16 poletek z różnego rodzaju trawami? Chce bowiem przekonać się, jakie gatunki traw najlepiej nadają się na miejscowe łąki.

Co Was w tym najkrótszym (z możliwych) sprawozdaniu umacnia w przekonaniu, że Szwajewski to... racjonalizator? Czy nie... ogródek miczurinowski i poletka wielu gatunków traw? W tych próbach niewątpliwie widać **doświadczalnika.** A porównajcie uprawę zbóż z uprawą traw, pierwsza jest powszechna, druga prawie nie praktykowana przez chłopów lub w wielkim zaniedbaniu. Dla sąsiadów Szwajewskiego w Brzezicach jego 16 poletek trawowych stanowi większe nowatorstwo, niż jego sukces w zbożowych, owe 30 q żyta z hektara. Dlaczego? Właśnie dlatego, że w podnoszeniu wydajności zbóż każdy z nich bierze udział, a z tymi trawami już jest inaczej. To Szwajewski **za nich i za inne gromady doświadcza.** I chłopi rozumieją, że wynik tych doświadczeń da dopiero okolicznym gromadom napęd do rozwinięcia bazy paszowej. I że po takim sprawdzeniu nie „ogonki" powinno się uprawiać na każdej parceli, ale stworzyć co najmniej na dużej przestrzeni **wspólny zespół uprawowy,** a zatem i wspólną hodowlę itd., aż do pełnej spółdzielni produkcyjnej.

W zbożowych osiągnięcia Szwajewskiego stały się agitatorem w dwie strony, za spółdzielnią i przeciw niej. Szwajewski bowiem swoimi zbiorami dorównał spółdzielni produkcyjnej w pobliskim Milejowie. A sławna to spółdzielnia. Wróg w takich sytuacjach dowodzi, że indywidualnie też można rozwinąć postęp w nieskończoność. Ale krótki jest bieg dywersji po tej linii. Jaki bowiem może być w niedługim wcale czasie wynik współzawodnictwa, które podjęło kilkunastu chłopów w Brzezicach? Rzucili oni wyzwanie naszemu racjonalizatorowi. W jesieni zmierzą swoje wyniki. W jesieni też, kiedy je szeroko przedyskutują, można się spodziewać powstania spółdzielni produkcyjnej w Brzezicach.

Foto CAF

A przyjrzyjmy się Szwajewskiemu, plantatorowi buraka cukrowego. 600 q z ha! Słuchałam go rozprawiającego z chłopami. Roztaczał przed nimi cały arsenał wiedzy argrotechnicznej samouka, wiedzy opartej na brystrej i wnikliwej obserwacji. Wyliczał kolejno jak stosuje orkę, włókę, kultywację brony, jak zasila sztucznymi nawozami, łącząc logicznie wszystkie sposoby uprawy w jeden wielki zabieg dla utrzymania największych zapasów wilgoci w ziemi.

„Z czwartym listkiem na buraku wychodzę na pole z planetem, aby wzruszyć ziemię między rzędami". Jaka to wspaniała terminologia domorosłego agrotechnika, w którego kalendarzu mierzy się czas objawami rozwoju pielęgnowanej rośliny. Albo — „żona moja przy plantacji buraków nie ma wiele do roboty, do niej należy tylko przeorywka i gracowanie". To znów swoista metoda sprawdzania wyników pracy — im lepiej pielęgnuje buraki Szwajewski, tym mniej ma do roboty jego żona.

Jak działa taka agitacja? Jeszcze dwustronnie. Jeszcze mobilizuje do podnoszenia uprawy „na swoim". Jeszcze zakłada podniesienie się w kulturze rolnej wielu, aby dopiero ten szeroki trzon oświeconych i wciągniętych w radość wzmagania produkcji doszedł do logicznego wniosku — jaką perspektywę dla rozwoju i doskonalenia tej produkcji otwiera spółdzielnia produkcyjna.

Ta droga bierząco wzmaga aktywność chłopów na swoich parcelach. Wypełniają się na niej dwa procesy. Jeden wyprowadza nasze rolnictwo, mimo, że w głównej masie wciąż jeszcze indywidualne, z nadmiernego opóźniania się w stosunku do tempa rozwoju przemysłu. Drugi — przez pierwszy i w otoczeniu spółdzielni produkcyjnych, POM-ów i PGR-ów pozwala chłopstwu **doświadczyć do końca,** co przy władzy ludowej i przy socjalistycznym przemyśle i planie ogólnonarodowym można zdziałać i osiągnąć w indywidualnym gospodarstwie i jak naturalną i dlatego nieodzowną staje się z kolei przebudowa ustroju rolnego.

A sam Szwajewski, ten pierwszy z pierwszych? Jaką on ma świadomość? Liczy sobie 60 lat. Ten wiek ma wymowę. Chłopi znają go dobrze. Przed wojną miał hektar i 20 arów. Nie mógł z tego wyżyć. Nie mógł plantować buraków, choć w pobliskim majątku hr. Scipio del Campo wynajmował się właśnie do przerywania buraków. Nie miał obornika, nie miał nawozów, nie miał „na początek interesu" najdrobniejszego wkładu pieniężnego ani nadziei na kredyty. Rzucał się i na stolarkę i na kowalstwo przygodne.

W Polsce Ludowej z Reformy Rolnej otrzymał pełne 5 ha. Dobiegał wtedy 55 roku życia. Urządzić się syto i spokojnie — to było rzeczą naturalną i wystarczającą. A Szwajewski poszedł dalej. I postępuje z coraz większym rozmachem naprzód. To stanowi o jego agitacji, nie dającej żadnym kruczkom wroga odchylić jej kierunku.

Chłopi dobrze rozumieją, że nie chciwość gospodarska kieruje wysiłkami Szwajewskiego. 60-letni chłop bywał dawniej na wsi seniorem, z którego ust płynęła mądrość starych. Więcej co prawda słyszało się od takich anegdot umoralniających i wspomnień z przeszłości, toteż w treści doradctwa zmienił i zburzył tradycję Szwajewski, ale nie zmienił samej tradycji. Ma po staremu prawo gromada zwracać swoje oczy na seniora. Ma prawo oczekiwać od niego dojrzałej rady i wskazań. I Szwajewski jej nie zawiódł. Jego dojrzała mądrość uczy śmiałości, jaka cechuje młodych i jest tak świeża i nowa, jak nasze nowe czasy. Ten stary chłop pączkuje najpiękniejszą młodością: odkryciami w praktyce rolnej, które po raz pierwszy w życiu pozwoliły mu stanąć na progu nauki, tej która tworzy i sama z kolei uczy.

Pytam Szwajewskiego. — No i co dalej?

— Jestem jak po maturze. Czuję się na siłach na wyższą uczelnię, jak to mówią po waszemu. Ale musi się zmienić w gromadzie. Inaczej stanę. Buraki u mnie pierwsze, żyto i jęczmień też, teraz trawy przybyły. Wszystko razem — nie da rady. Trawy mnie ciągną, specjalność, ważna specjalność! Dla wszystkich nad nią chciałbym pracować i we wspólnocie. Ale gromada to nawet za mało dla traw. Ot, chociażby gmina. Żeby na niej zbadać i ze trzy, cztery dobrane gatunki posiać, a potem pilnować, objeżdżać, sprawdzać i poprawiać.

*

Na przeciwległym krańcu powiatu lubelskiego gospodaruje racjonalizator, w innym zakresie, w hodowli. Leon Łęczny w Kolonii Załucze siedzi na 3 hektarach, a sztuk inwentarza karmi 15: tuczników 10, 3 krowy i jałówkę holenderskiej rasy oraz jednego konia. Rachunek nieprawdopodobny, ale... prawdziwy.

Zacznijmy od początku.

— Po wyzwoleniu — jak opowiada Łęczny — pojawili się we wsi instruktorzy rolni, opowiadali o silosach do gromadzenia kiszonek z paszy. Opowiadali wiele innych rzeczy, ale to mnie najbardziej ruszyło. Zapamiętałem wywód. Przed sadzeniem kartofli można zasiać żyto i skosić przed wykłoszeniem, a potem zmagazynować w silosie. Zaryzykowałem budowę i wniosłem podanie do Rady Powiatowej o przyznanie subwencji i przydział cementu. Jedno i drugie otrzymałem. Wtedy postawiłem silos głębokości 3 m o średnicy 2,5. Duży.

Łęczny na innej drodze niż Szwajewski doszedł do pozycji racjonalizatorstwa. Na czym polega różnica? Łęczny powiada, że „on zaryzykował". To prawda, ale nie mniej ważną prawdą jest, że zaryzykowało państwo, zaryzykowała rewolucja. Jakie gwarancje miała rewolucja inwestując Łęcznego? Pierwsza — małorolny, druga — że „on zaryzykował". Działo się to w pierwszych latach po wyzwoleniu, kiedy jeszcze toczyła się walka o umocnienie władzy ludowej, kiedy na wielu terenach klasa robotnicza realizowała z małorolnymi i częściowo średniorolnymi wojenno-polityczny sojusz, kiedy w walce z bandami, udzielającymi poparcia Mikołajczykowi, padały tysiące robotników i chłopów. A jednocześnie pług zaorywał ziemię dawną i z nadziału. Wtedy to — też jednocześnie — Partia i Rząd Ludowy szukały na wsi śmiałków i sojusz-

*(Dokończenie na str. 4-ej)*

EDWARD SZUSTER

# EKIPA ŁĄCZNOŚCI

Foto CAF

W PŁYTKIE pudło ciężarówki wstawiona była drewniana kabina: na żelaznej podłodze rozłożono matę ze słomy. W ten sposób przystosowany samochód nadawał się wyśmienicie do zimowych podróży; przed wiatrem i mrozem chroniła pasażerów dykta ścian, słoma izolowała nogi od ziejącej chłodem blachy. I dziś zima nie mogła przedostać się do wnętrza skrzyni; jedynie suty szron osiadający na obu szybkach skrząc się w słońcu przypominał, że zima trwa jeszcze.

Na środku tego podróżnego pokoiku królowała wielka, żelazna beczka a pod ławkami leżało kilkadziesiąt odlewów w kształcie smukłych ściętych stożków. Beczka tkwiła nieruchomo, odlewy podskakiwały i postukiwały o siebie od czasu do czasu pod wpływem wydatniejszych wstrząsów samochodu. W pewnej chwili kilka z nich wytoczyło się z pod ławki, ale wielki but Kubisiaka zlikwidował w zarodku tę próbę rozluźnienia dyscypliny podróży.

— Jak trzeba to i kilkanaście osób możemy tu zabrać — wyjaśniał Kubisiak zwracając się do radiowców. — Wtedy jeszcze cieplej. Cała ekipa się mieści.

— Już się tak nie chwalcie — zażartował delegat fabrycznego koła ZMP odwracając głowę od szybki, na którą chuchał by stopić pokrywający ją kożuch szronu.

— A niby dlaczego? — Kubisiak uśmiechnął się mrużąc oczy. — Urządzenie przecież dobre, nie? — poklepał dłonią ścianki kabiny i dodał po chwili. — Bez tego to by nawet mowy nie było o wyjazdach ekipy.

— A dlaczego dziś jedziecie tylko we trójkę? — zapytał jeden z radiowców.

— Specjalny dziś wyjazd — odparł zetempowiec. — To najważniejsze — kopnął beczkę, która odpowiedziała głuchym stuknięciem.

— I to — dodał Kubisiak wskazując wzrokiem potaczające się pod ławkami odlewy.

Wyjazd był rzeczywiście „specjalny" o czym świadczyła zarówno niewielka liczba uczestników ekipy — trzech, jak i fakt, że wbrew normalnym obyczajom ekip wybrano się w podróż w sobotę rano. Stało się tak dlatego przede wszystkim, że już za tydzień POM w Rawie Mazowieckiej powinien zakończyć przygotowania do kampanii wiosennej. Tydzień to niewiele i choć od kilku już dni w Rawie przebywał Ozimiński, do którego można było mieć zaufanie, to jednak Kubisiak koniecznie chciał sam zobaczyć jak! jest stan prac w POM-ie. Ostatecznie nie Ozimiński przecież ale on, Kubisiak odpowiada jako kierownik ekipy łączności za rezultaty jej pracy; jemu przede wszystkim przyjdzie tłumaczyć się przed Radą Zakładową i Organizacją Partyjną jeśli ekipa nie zrobi wszystkiego, co można, by pomóc rawskiemu SOM-owi do wykonania jego harmonogramów remontowych. To też jak tylko nadarzyła się okazja, jak tylko odlewy tulei były gotowe a beczka zaoszczędzonych smarów wyciągnięta z magazynu, Kubisiak dopóty deptał po piętach dyrektorowi aż uzyskał zgodę na wyjazd do Rawy. Teraz mijali już Brzeziny pozostawała jeszcze niepełna godzina jazdy i Kubisiak z satysfakcją myślał o tym, że wkrótce już na miejscu zobaczy jak wyglądają sprawy. Prawdę mówiąc to i beczka i tuleje nie były tak zaraz POM-owi potrzebne, ale i tak, po to by je dostarczyć trzeba było zrobić specjalny kurs samochodem tak że Kubisiak nie miał wyrzutów sumienia o zużytą na dzisiejszą drogę benzynę, której tak skąpo udzielał kierownik transportu.

Tymczasem zetempowiec odpowiadając na pytania jednego z radiowców mówił:

— My, to znaczy ekipa przy zakładach im. Strzelczyka, opiekujemy się POM-em w Rawie Mazowieckiej. A znów ekipy z Wi-Fa-My i zakładów Stalina mają inne POM-y pod opieką. To, rozumiecie, między nami jest współzawodnictwo.

— Aha, między ekipami — domyślił się radiowiec. Schował do kieszeni notes, w którym próbował coś zapisywać, ale zrezygnował z tego nie mogąc dać sobie rady z dygocącym samochodem.

— Właśnie — wtrącił się do rozmowy milczący od dłuższego czasu Kubisiak. — My tak myślimy: który POM dobrze pracuje, to znaczy się, że i opieka dobra. No i właśnie wieziemy tym naszym w Rawie smar do konserwacji i zapasowe części.

— I fachowca im do pomocy posłaliśmy — dodał zetempowiec. — Mechanika samochodowego, wiecie?

Trzeci uczestnik ekipy dokończył rozpoczęte przez zetempowca dzieło odmrażania szybki i wyglądał przez okienko. W rozmowie udziału nie brał, w pewnej tylko chwili zawołał nie odwracając głowy od okna.

— Patrzcie-no! Ekipa od Kunickiego.

Wnętrze kabinki przyciemniało nieco bo tuż obok okna przesunął się wielki wóz ciężarowy wyprzedzając samochód Zakładów im. Strzelczyka.

*

Przed drzwiami kancelarii natknął się Kubisiak na Koprowskiego, elektryka POM-u i przywitał go pytaniem o Ozimińskiego.

— Do miasta poszedł, kupić coś na kolację — odpowiedział elektryk, a Kubisiakowi przypomniało się w tej chwili, że to właśnie z Koprowskim najczęściej współpracuje Ozimiński.

— No i jak? — zapytał. — Dobrze wam tu nasz majster pomaga?

— Nie można powiedzieć, dobrze — uśmiechnął się Koprowski. — Daje z siebie, co może...

Ostatnie zdanie elektryka wydawało się niedokończone, wydawało się, że coś tam jeszcze miało być powiedziane, ale utknęło w krtani Koprowskiego. Zaniepokoił się Kubisiak.

— Macie z nim jakieś kłopoty? — dopytywał się biorąc rozmówcę za guzik kurtki. Koprowski zastanowiał się chwilkę, podrapał się za uchem i spojrzał na Kubisiaka z uśmiechem.

— No nie, gdzie tam — zaprzeczył skwapliwie. — Kłopotów nie ma, tylko, rozumiecie, on się jeszcze do naszych zwyczajów nie przyzwyczaił.

— Jakich znów zwyczajów? — zirytował się Kubisiak i mocno pociągnął Koprowskiego za guzik. — Co wy tu znowu za zwyczaje macie? — nacierał na rozmówcę sam nie wiedząc, co go bardziej irytuje: czy to, że w POM-ie są jakieś zwyczaje, których on nie zna, czy to, że Ozimiński nie potrafił się dostosować do owych tajemniczych zwyczajów, czy to wreszcie, że Koprowski mówi o tych sprawach z jakimś tajemniczym uśmieszkiem.

— Nie ma o czym mówić — tłumaczył elektryk, próbując uwolnić swój guzik z palców Kubisiaka. — Nic ważnego. On wam sam powie, a ja już muszę iść. — Oswobodził się i skinąwszy Kubisiakowi głową poszedł ku wyjściu.

— Dacie radę na termin? — zawołał za nim Kubisiak, a elektryk skinął lekko głową i odpowiedział: „Dlaczego nie?" Takich niewyraźnych odpowiedzi Kubisiak po prostu nie znosił i do kancelarii wkroczył w nie najłagodniejszym nastroju.

*

W gospodzie ludowej gości było sporo, jak zwykle w porze obiadowej. Przy stołach porozsiadali się liczni przyjezdni chłopi. Jeden z radiowców zrobił nawet smętną minę na widok tylu amatorów obiadu, ale Kubisiak uspokoił go zapewnieniem, że długiego czekania nie będzie. Zaraz też zakręcił się i przy kasie i w kuchni, gdzie znano go z poprzednich jego przyjazdów do Rawy i w rezultacie po paru minutach siedzieli już wszyscy nad talerzami dymiącej zupy.

— Widzicie — chwalił się żartobliwie Kubisiak. — Z nami w Rawie nie zginiecie, my tu swoi ludzie.

Roześmieli się wszyscy i chwycili za łyżki.

Foto CAF

— A wy tu skąd? — odezwał się stojący w drzwiach pokoju wysoki mężczyzna. Był to Ozimiński na widok którego Kubisiak zerwał się z krzesła i szybko szykował przybyłemu miejsce koło siebie.

— Siadajcie - no, siadajcie — zapraszał zapobiegliwie a gdy Ozimiński przywitawszy się ze wszystkimi znalazł się już za stołem Kubisiak spojrzał na niego surowo i bez zbędnych wstępów przystąpił do zasadniczej dla niego sprawy.

— Skarżą się tu na was, ot co. Jak to jest towarzyszu Ozimiński?

Wyraz twarzy Ozimińskiego wyrażał tak oczywiste zdumienie, że nie czekając już na zaprzeczenie Kubisiak powtórzył mu swoją rozmowę z Koprowskim. Wysłuchawszy o co chodzi mechanik uśmiechnął się szeroko.

— Żarty i tyle — rzekł spokojnie. — Zaraz wam powiem do jakich zwyczajów przyzwyczaić się nie mogę.

— Do tego zimna, co? — domyślał się uspokojony Kubisiak.

Ozimiński skinął przecząco głową.

— A co to ja w biurze siedzę czy jak? Moje miejsce w warsztacie, sami wiecie. Tam to właśnie oni mają te swoje zwyczaje. Wiecie jak to u nas w zakładach: do roboty przychodzę, narzędzia sobie wyjmuję, na stół kładę i tak już one przez cały dzień leżą. No, jak tu do nich przyjechałem to tak samo robię. I bieda. Jak tylko odejdziesz gdzieś od stołu to za powrotem tego nie ma, tamtego nie ma. Takie mają zwyczaje.

— Znaczy się, kradną — odezwał się jeden z radiowców pragnąc wyraźnie określić zwyczaje pracowników pomowskiego warsztatu.

Ozimiński zaprzeczył żywo.

— Nie, nie kradną. Pożyczają sobie po prostu bez pytania i tyle. Przyjdzie traktorzysta, zobaczy potrzebny mu akurat klucz, dajmy na to, i zabiera. Potem odda, czasem na drugi dzień nawet, a ty człowieku oglądaj się za narzędziem. Taka sprawa.

— Po prostu praca niezorganizowana jak należy — stwierdził Kubisiak. — Anarchia. Ale wasza rzecz, towarzyszu Ozimiński oduczyć ich od tego.

— Nie ma się co dziwić — dodał zetempowiec. — Chłopaki prosto ze wsi do warsztatu przyszli to i nie wszystko od razu rozumieją.

— A z remontem zdążą — pytał Ozimińskiego Kubisiak. W odpowiedzi dostrzegł potakujący ruch głowy mechanika, który zabrał się właśnie do obiadu.

Te właśnie najistotniejsze dla Kubisiaka sprawy stanowiły temat rozmów przy stole i na spotkanie z załogą POM Kubisiak szedł już mając dość jasny obraz sytuacji. Była ona ogólnie rzecz biorąc dobra choć nie brakło i spraw, które irytowały i wskazywały, że w POM-ie nie wszystko dzieje się jak należy. Dlaczego na przykład dopiero teraz zabrano się do przerabiania stacyjek traktorowych? To właśnie pytanie zadał Kubisiak zaraz na wstępie swego spotkania z załogą.

W gruncie rzeczy nie było to spotkanie z całą załogą; w stołówce zebrali się tylko ci pracownicy, którzy mieszkali w internacie i nie wyjeżdżali do rodzin. Wystarczyło ich jednak na to, by rozmowa miała wagę. Sprawę stacyjek krótko wyjaśnił Koprowski.

— Jak nie było czego przerabiać to i nie przerabialiśmy wcześniej.

— Jak to: nie było? — zdziwił się Kubisiak.

— Zwyczajnie. Najpierw mówiło się, że mają przyjść właściwe to i czekaliśmy. Dopiero potem, niedawno, okazało się, że stacyjek do Zetorów nie ma, to trzeba było prędko sprowadzić te do Ursusów i przerabiać je.

Dalsza dyskusja wyjaśniła, że w gruncie rzeczy mechanik Żeromski mógłby już wcześniej dowiedzieć się, jak wygląda sprawa stacyjek, ale czekał aż mu przyślą z Ekspozytury, to co trzeba. Nie było to jakieś wyraźne przewinienie, lecz opieszałość czy lenistwo, ale Kubisiak nie omieszkał wykazać Żeromskiemu szkodliwości jego postawy.

— To my tu wam pomoc przysyłamy, człowieka od warsztatu odrywamy żeby jak najprędzej wszystko było do siewów gotowe a wy, można powiedzieć, czekacie sobie spokojnie aż wam przyślą stacyjki. To u nas można powiedzieć, ludzie bardziej się waszym POM-em przejmują, bo wam przecież i dziś przywieźliśmy zapasowe tuleje w naszej odlewni odlane. Staramy się, żeby wam niczego nie brakowało, żeby zapasowe części były a wy co?

— A my, towarzyszu, na przykład ja, przepracuję na swoim ciągniku 2200 godzin bez remontu — odezwał się spod pieca traktorzysta Szyszkowski marszcząc w uśmiechu usmoloną twarz.

— Co tu gadać, Żeromski nie postarał się jak należy — zdecydował kierownik polityczny. — Gdybyśmy mieli stacyjki wcześniej to i remont byłby już prawie skończony.

— A tych tulei to jeszcze przywieźcie — zaproponował starszy mechanik. — Nie zaszkodzi jak ich w zapasie będzie jeszcze więcej.

Kubisiak zdziwił się.

— Jeszcze? Tego, co macie to wam powinno na rok starczyć.

— Kiedy Ekspozytura kazała, żebyśmy połowę zapasu oddali innym POM-om — wyjaśnił kierownik polityczny.

— I oddaliście?

— No a jak?

Kubisiak oniemiał po prostu w pierwszej chwili a potem wstał z krzesła i spojrzał surowo na kierownika politycznego.

— Jakim prawem? — zapytał. — Komu my przywozimy? Wam czy Ekspozyturze? Jakim POM em opiekuje się nasza ekipa? Rawskim czy wszystkimi w całym województwie? Dla kogo nasza odlewnia, nasi ludzie robią? Przecież każdy POM ma swoją ekipę. Nie ma takich zakładów co by miały odlewnie? W Wi-Fa-Mie nie ma może odlewni? Nie może Wi-Fa-Ma swojego POM-u zaopatrzyć czy jak? My musimy dla wszystkich robić a potem tamtym innym ekipom policzy się naszą robotę do współzawodnictwa. Nie trzeba wam było dawać i koniec.

— To niby jak? — zdziwił się kierownik polityczny. — Mamy może tajne magazyny zakładać, takie do których Ekspozytury nie wpuścimy, co?

— Przecież to nasza robota — upierał się Kubisiak. — Dla was myśmy robili a nie dla kogo innego.

— Towarzyszu Kubisiak, czego się złościcie? Tego że inne POM-y będą mogły lepiej pracować?

*

Wracali do Łodzi wieczorem; ciemno było w kabince z dykty i cicho choć pasażerów przybyło. Wracał do Łodzi na niedzielę Ozimiński, paru traktorzystów skorzystało z okazji i zabrało się do domów, znajdujących się we wsiach, przez które samochód miał przejeżdżać. Ciemność, lekkie dygotanie samochodu i ciepło panujące w kabince mimo mrozu na dworze nastrajało ludzi sennie. Drzemali lub w milczeniu palili papierosy, czasem pogwarzając szeptem.

Kubisiak ani nie spał, ani nie palił. Oparłszy się o dykte ścianki i wyciągnąwszy przed siebie nogi myślał i nie mógł ani rusz zrozumieć, co mu też do głowy strzeliło. Jakże to się stało, że on, doświadczony i wyrobiony aktywista mógł palnąć takie głupstwo wobec kilkunastu młodych traktorzystów i mechaników, takich właśnie co to nie zawsze jeszcze potrafią zrozumieć, jak się powinno pracować w warsztacie? Przypomniał sobie pytanie kierownika politycznego i aż mu się wstyd zrobiło. Że też sprawa współzawodnictwa mogła mu tak przysłonić te inne, znacznie ważniejsze sprawy, do tego stopnia, by wszystko razem pomieszało mu się w głowie i zamąciło. Błąd, krytykował sam siebie, błąd, który powstał z tego, że się myślało przede wszystkim o swojej ekipie. I popatrzeć tylko: zrobisz człowieku taki mały wydawałoby się błąd, zapomnisz na chwilę o tem, że tabakiera ma służyć nosowi, a nie samej sobie i głupstwo gotowe. Dobrze jak się na głupstwie skończy tak jak dziś właśnie.

Otrząsnął się Kubisiak z tych myśli i wyciągnąwszy z kieszeni papierosa zwrócił się o ogień do siedzącego obok Ozimińskiego. Przypalił a potem ujął sąsiada pod ramię.

— Alem się wyglupił, co? — zapytał szeptem.

— Nie można powiedzieć — zgodził się Ozimiński także szeptem i w mroku ujął Kubisiaka za łokieć krótkim lecz pełnym wyrazu uściśnięciem. Zaśmiali się obaj porozumiewawczo.

Szyszkowski siedzący naprzeciw usłyszał ten śmiech i widząc, że Kubisiak nie śpi, zapytał go ciekawie.

— Towarzyszu Kubisiak, kiedy przyjedziecie do nas z całą ekipą?

**Edward Szuster**

## CHŁOPSCY RACJONALIZATORZY

*(Dokończenie ze str. 3-ej)*

ników w dziele, które miało wydać pełne owoce dopiero po latach. Wtedy to już zastosowano sprawdzian, charakterystyczny dla naszych lat Wielkiego Planu. Okaż najwyższy dowód odwagi i wiary politycznej! Gotowyś zginąć w obronie rewolucji — twoja rewolucja. Głosujesz trzy razy tak — Twoja ojczyzna i państwo. A jak mocno i śmiało wrastasz w **przyszłość** Ludowej Polski i w jej **porewolucyjne budownictwo?** W tych pierwszych latach Łęczny dał odpowiedź na trzecie pytanie: „zaryzykował" postęp, kiedy musiał jeszcze drżeć o życie, kłaniać się kułakowi i grzęznąć w „obowiązującym" na wsi zacofaniu. Rewolucja rozwijała się w szybkim tempie tam wszędzie, gdzie małorolny rwał się do skoku dla ulepszenia produkcji. I na Łęcznym się nie zawiodła. Rozwijał się ten racjonalizator na inwestycjach i pomocy państwa. Oczyszczał się pomału z nalotu „chłopka-roztropka", któremu osobisty interes pomaga rozwijać bystrość.

Łęczny doszedł wkrótce do dużego inwentarza. A kto ma bydło, ma niemało obornika... jeśli ma słomę lub wzorowy gnojownik. Łęczny wniósł nowe podanie o kredyt na taką **murowaną** gnojownię. Dostał. Zaoszczędził słomę, a pod inwentarzem mógł utrzymać suche stanowiska, higiena to nowy warunek dobrej hodowli.

To jednak strona rachunku a teraz druga. Łęczny „wykierował się" na znawcę hodowli bydła i trzody. Ten samouk wlazł po uszy w lekturę fachowych książek. Brał udział w krajowym konkursie: „Jak żywię i pielęgnuję krowę w gospodarstwie". Otrzymał czwartą nagrodę. Uczestniczył w warszawskiej naradzie aktywu naukowego i gospodarczego w sprawie rozszerzenia bazy paszowej. Zeszłej jeszcze jesieni otrzymał Brązowy Krzyż Zasługi za wzorowe wykonywanie obowiązków obywatelskich. Z dziesięciu tuczników oddał na kontraktację 9. Zadziwia wieś 15-tu sztukami inwentarza na 3 ha (gdzie łączka stanowi paroarowy ogarek).

Ale w tym ostatnim efekcie sprawa nie jest już tak prosta. I tu wraca podobna, jak u Szwajewskiego sprzeczność.

Bardziej nawet zaostrzona. Ekonomicznie — na cóż wskazuje 3 ha Łęcznego? Na to, że można mieć dochody mocnego średniaka. Produkcyjnie? Że można wyciągnąć na indywidualnym (i nawet małym) gospodarstwie dwa razy więcej — powyżej przeciętnej.

Drogi do tego i tak rozumianego „sukcesu"? Dwie — domagać się od państwa inwestycji albo własnymi (a to znaczy — nie zawsze najczystszymi) sposobami „doskoczyć" do silosu i gnojowni. Czystą drogą poszli już za wzorem Łęcznego dwaj inni chłopi z jego wsi, Smoleń i Mędlikowski.

Ta droga wciąż jeszcze, acz wzmaga wysiłki i zapał produkcyjny chłopów, przedłuża ich doświadczanie możliwości gospodarki indywidualnej. Zatrzymuje ich przez to i skupia na swoim.

Droga ta ma jednak do siebie to, że im więcej na nią wejdzie chłopów w tej samej okolicy — oczyszcza się, jak to pokazuje przykład Szwajewskiego. Kilkunastu współzawodników doprowadza do przełomu: powstaje spółdzielnia produkcyjna; choć to nie jedyna a tylko jedna z przyczyn rozwoju spółdzielczości.

W wypadku Łęcznego działają dwa doświadczenia. On sam do silosu i gnojowni doszedł przy pomocy państwa. Smoleń i Mędlikowski na własną rękę. Chłopi patrzą i rozumują. Wszyscy w ten sposób nie zrównają się. „Indywidualny" postęp w takiej postaci odbija silniejszych ekonomicznie i wzmacnia różnice na wsi. Co dobre? Sama idea silosu, gnojowni i mistrzostwa w hodowli. Tę ideę wniósł i praktycznie jej dowiódł Łęczny. Ale czy on mówi: wzorujcie się na mnie, czy też mówi, chodźmy razem naprzód? Czy nie mówi, że mielibyście we mnie mistrza hodowli, racjonalizatora? Czy moglibyśmy się w spółdzielni na nim zawieść? Czy nie wiemy, że w pobliskich Łazach mleko od 23 krów daje połowę dochodu tamtejszej spółdzielni produkcyjnej? A czy można wątpić o tym, że Łęczny cudów by dokazał z naszymi krowami i świniami? I wpływ Łęcznego jest podobny, jak Szwajewskiego. Więc i on jest racjonalizatorem, bo rozwijając na wsi doświadczalnictwo w hodowli, pociąga nim chłopów **do pracy uspołecznionej i do wyodrębnienia specjalności.** Mylimy się? Sprawdziliśmy. Jak ocenili kułacy „robotę" Łęcznego? Nie próbowali nawet zadąć w kozi róg, który wygrywa starą melodię: po co ci do spółdzielni, kiedy widzisz ile to można osiągnąć nawet na 3 hektarach. Nie, kułacy nie zrobili dobrej miny do złej gry. Nie wpisali Łęcznego, obłudnie chwaląc, na listę „dobrych gospodarzy". Uderzyli w niego wściekle inaczej, otwarcie i zbdurnie.

— Ot macie Łęcznego, pokazuje, ile to można wyciągnąć z ziemi a potem podniosą nam podatki!

Ale Łęczny gospodarował i doświadczał, a podatków gromadzie nie podnoszono — przeciwnie, biedniak płaci mniej.

Racjonalizator na wsi, jak widać na przykładzie Łęcznego, to nie tylko punkt oparcia i rozwoju postępu w organizacji i produkcji rolnej, to również oś, wokół której obraca się, zaostrza i rozjaśnia walka klasowa.

Szwajewski — łąki, Łęczny — hodowla a przez każdego z nich wzmaga się świadomość polityczna gromady, wzbiera nurt walki i przemian. Zaś dla nauki polskiej, dla planowania terytorialnego, dla rejonizacji, dla specjalizacji tacy Szwajewscy i Łęczni, to coraz gęstsze punkty oparcia i transmisji postępu w produkcji rolnej, postępu, który stanie się najpiękniejszym wianem wsi socjalistycznej.

**Krystyna Pałys**

KAZIMIERZ KOSZUTSKI

# GDZIE ROK TRWA 150 DNI

Foto CAF

O ZNACZENIU W-4 dla Pa-Fa-Wagu świadczy proste zestawienie dwu cyfr: z około 7.000 części, z jakich składa się wagon osobowy, na W-4 wykonuje się 1500. Stąd też niewykonanie planu przez W-4 w trzecim kwartale 1951 roku łamało plan całego zakładu. W 4-tym kwartale 1951 r. zaczął się przełom. Dwaj młodzi wiertacze: Stefan Ostrowski i Jan Kołodziej, wykonujący 200—230 proc. normy przeszli na wspólną obsługę 4-ch maszyn i wezwali kolegów do współzawodnictwa. Wezwanie podjęto również w innych wydziałach. Na początku 1952 r. zakład zaczął wykonywać plan.

Pa-Fa-Wag, jako pierwszy w kraju, rzucił apel o podejmowanie zobowiązań ku czci 60-rocznicy urodzin Prezydenta i święta 1-go Maja. W marcu jako pierwszy z załogi zameldował o wykonaniu swoich zadań w Planie 6-letnim Ostrowski, 22 marca — Kołodziej. W liście załogi meldującym o wykonaniu podjętych zobowiązań z nadwyżką — czytamy:

„Realizując wskazania naszego Komitetu Centralnego, którego pracami Ty kierujesz, rozwijaliśmy współzawodnictwo pracy, podnosiliśmy wydajność, usprawnialiśmy organizację i technologię produkcji, rozwinęliśmy ruch racjonalizatorski i dzięki naprężonej walce o Plan, prowadzonej przez całą naszą załogę, zdołaliśmy przełamać trudności najcięższego okresu i podnieść nasz zakład na nowy, wyższy poziom".

W tym, że rok w naszych rękach skurczył się do 20 tygodni, żadnej tajemnicy nie ma — mówią Ostrowski i Kołodziej. — Po prostu jesteśmy osobiście serdecznie i szczerze zainteresowani w rozwoju produkcji i podniesieniu wydajności. Słowa: nasza fabryka, pracujemy dla siebie — są prawdziwe nie tylko dlatego, że zarabiamy nie mniej niż 2.000 zł. miesięcznie, że przyzwoicie, nareszcie naprawdę po ludzku mieszkamy, że mamy swój udział w kierowaniu i gospodarowaniu fabryką. Ale czy mógłby kto z nas pomarzyć o takim uznaniu dla naszej pracy przed wojną? Jesteśmy potrzebni i pożyteczni. Nie pytamy z niepokojem: co będzie jutro? Projekt Konstytucji gwarantuje nam te prawa, z których korzystamy już dziś w życiu — i perspektywy na przyszłość. Wczoraj dostaliśmy radosną wiadomość o przyznaniu nam Złotych Krzyży Zasługi. To zobowiązuje.

O tym, co było przed wojną, wspominają jak o czymś bardzo dalekim i bezpowrotnym.

Skrawek ziemi nad Pilicą nie mógł wyżywić b. licznej (10 osób) rodziny Ostrowskich — tak jak łąki i pastwiska na wsi podłódzkiej rodziny Kołodziejów. Jeden brat Kołodzieja we Francji szukał pracy, drugi Polskę przemierzał wszerz i wzdłuż za robotą. Dziś jeden z nich pracuje w hucie Częstochowa, drugi z Jankiem z Pa-Fa-Wagu. On sam jako wywieziony przez okupanta na roboty do Niemiec, po wojnie wrócił do kraju i od 1946 roku pracuje w Pa-Fa-Wagu od pierwszych dni razem z Ostrowskim. Ich losy osobiste łączą się odtąd najściślej z losami fabryki. Wzajemna współpraca, pomoc koleżeńska zmieniła się z czasem w trwałą przyjaźń.

— Początkowo koledzy z nieufnością i niedowierzaniem patrzyli na naszą robotę. Niektórzy nawet podejrzewali, że dostajemy lżejszą, łatwiejszą robotę. Aleśmy pokazali, że w naszych sukcesach tajemnic nie ma. Przede wszystkim: świadomość, że to co robimy — można robić lepiej i szybciej, że robimy to dla siebie, dla fabryki, dla Polski Ludowej. Punktualność i dokładność w pracy, maksymalne wykorzystanie czasu i maszyn, które, mimo że pracują pod najwyższym obciążeniem, nie były od 6-ciu lat w głównym remoncie. No i współpraca. Jeśli któryś z nas dostał pilniejszą czy bardziej trudną robotę — wykonywaliśmy ją wspólnie, a potem wspólnie braliśmy się za robotę drugiego. Parę małych usprawnień — i macie. Np. dostaję do obróbki nakrętki, a Janek łożyska płaskowników, które są natychmiast potrzebne. Wykonujemy więc najpierw wspólnie jego zadanie, później moje.

— Nieraz w rozmowie z kolegami o naszych trudnościach, że tego, czy owego brak, nawet najbardziej niewierny i nieufny Tomasz nie potrafi dać sobie rady z pytaniem: — A co byś, chłopie, robił, gdybyś nie miał tego wszystkiego, co ci dała władza ludowa, gdyby trwały czasy naszego cierpkiego i trudnego dzieciństwa.

— Nawet szczekaczkom z BBC wymknie się czasem słówko prawdy o nas: niedawno żalili się, że u nas w Polsce pastuchy chodzą do szkół i uniwersytetów, że dostają dyplomy i odznaczenia, że zasiadają na uroczystościach razem z najwyższymi dostojnikami. To ich boli.

— Byłem niedawno na uroczystej akademii ku czci 60-lecia urodzin Tow. Bieruta. Widziałem Go. Słuchałem jego prostych i mądrych słów. I jeszcze mocniejszym stało się postanowienie: pracować tak, aby On mógł być z nas dumny, tak jak nas uczy nasza Partia i On przykładem własnego życia, pełnego walk i wyrzeczeń w imię jasnej przyszłości narodu polskiego.

Dlatego młodzi wiertacze z W-4 Stefan Ostrowski i Jan Kołodziej, potrafią nagiąć i podporządkować potrzebom planu czas. Sześciolatkę wykonali w niespełna 27 miesięcy. Do 76 rocznicy urodzin Tow. Stalina wykonają jeszcze jedną.

Przy całej masie obowiązków społecznych i partyjnych zadań (żony kręciły początkowo trochę nosem na te ich obowiązki, a teraz prasa spokoju nie daje, „po co tyle szumu") umieją znaleźć czas na przeczytanie książki, na kino, teatr, zawody sportowe i pracę w ogródku, czas dla rosnących wymagań ich dwu i trzyletnich pociech.

Bo sami są ludźmi z najtrwalszego surowca: z entuzjazmu dla pracy, z przywiązania do Partii i jej Przewodniczącego, z miłości do Ludowej Ojczyzny.

**Kazimierz Koszutski**

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

*40-lecie „Prawdy"*

# „Prawda" w walce o literaturę socjalistyczną

*POSTULATY dotyczące podstawowych cech literatury radzieckiej zostały określone przez Lenina jeszcze przed zwycięstwem Rewolucji Październikowej. W okresie walki z „narodnictwem" w głośnym artykule p.t. „Treść ekonomiczna narodnictwa i jej krytyka w książce p. Struwego" (1894) Lenin przejrzyście przedstawił wyższość pisarza-materialisty nad burżuazyjnym „obiektywistą". Pisarz — uczył Lenin — posługujący się marksistowską dialektyką jest najbardziej konsekwentny w swoim obiektywizmie, albowiem w oparciu o określoną klasę społeczną, t.j. proletariat, wnosi do literatury element ideowości.*

*Postulat ideowości — służby literatury w celach przebudowy świata został głęboko i wszechstronnie rozwinięty w artykułach i wypowiedziach Lenina o Hercenie, Bielińskim, Czernyszewskim, L. Tołstoju, M. Gorkim i o innych, a zwłaszcza w napisanej w 1905 r. pracy „Organizacja partyjna a literatura partyjna" oraz w dziele „Materializm i empiriokrytycyzm". „Nie można żyć w społeczeństwie i być wolnym od społeczeństwa" — wołał Lenin, zrywając maskę obłudy z rzekomo niezależnej „sztuki" burżuazyjnej. Lenin demaskował zależność sztuki burżuazyjnej od celów kapitału i przeciwstawiał jej sztukę prawdziwie wolną, związaną z walką i nadziejami wyzwoleńczymi wielomilionowych mas ludu. „Będzie to literatura wolna dlatego — postulował Lenin — że będzie służyła nie przesyconej bohaterce, nie znudzonym i cierpiącym z nadmiaru tłuszczu „górnym dziesięciu tysiącom", lecz milionom, dziesiątkom milionów ludzi pracy, którzy stanowią kwiat kraju, jego siłę, jego przyszłość".*

*Pierwszym pisarzem proletariackim, który rozwinął swoją działalność w myśl postulatów Lenina, był Maksym Gorki, zwiastun rewolucji proletariackiej w literaturze i twórca realizmu socjalistycznego. W maju 1907 autor „Matki" spotkał się z Leninem na zjeździe w Londynie. Rozmawiali o najnowszym dziele Gorkiego, napisanym w roku 1906, znanym Leninowi z rękopisu. Lenin chwalił „Matkę": „Książka bardzo na czasie, książka potrzebna; wielu nieuświadomionych robotników brało żywiołowy udział w ruchu rewolucyjnym, teraz przeczytają „Matkę" z wielkim dla siebie pożytkiem". „Matka" Gorkiego spełniała w wielu wypadkach rolę szkoły, w której proletariat uczył się świadomości socjalistycznej. Na tle rozkładowych, burżuazyjno - dekadenckich kierunków literatury doby imperializmu, powieść Gorkiego odcinała się wielkimi wartościami realizmu i stanowiła drogowskaz dla ówczesnych i późniejszych pisarzy.*

*Walkę o ideowość w literaturze, o jej realistyczną metodę twórczą podjęły organy socjaldemokracji leninowskiej: „Zwiezda", „Prawda", „Znanje". Po upadku rewolucji 1905 roku w Rosji pod naporem ideologii imperializmu rozpanoszyły się dekadenckie kierunki literackie, które odciągały czytelników od walki społecznej, siały pesymizm i niewiarę w zmianę ustroju, spychały umysły na manowce reakcji. W tych warunkach przywódcy rosyjskiej klasy robotniczej, Lenin i Stalin, uważali za konieczne podjęcie bezkompromisowej walki ideologicznej m. in. także na froncie literatury. W grudniu 1910 r. ukazuje się tygodnik „Zwiezda", który staje się trybuną partyjnej literatury, związanej z walką proletariatu. Tu rodzi się bojowy talent satyryczny Demiana Biednego, tu pisarze lewicowi i postępowi, wreszcie korespondenci - robotnicy zamieszczają swoje prace. Po zamknięciu „Zwiezdy" przez cenzurę carską, walkę podejmuje gazeta codzienna „Prawda". Pierwszy numer został zredagowany przez Stalina i ukazał się 5 maja 1912 roku.*

*„Prawda" odegrała ogromną, doniosłą rolę w walce o literaturę proletariatu. Była kuźnią bolszewickiej ideologii, niosła w masy świadomość rewolucyjną i realizowała leninowski postulat literatury, która „winna stać się częścią sprawy ogólnoproletariackiej". Zwalczając burżuazyjnych ideologów, wypowiadając zdecydowaną walkę reakcyjnym prądom literackim, „Prawda" wiązała odrodzenie literatury rosyjskiej z walką o socjalizm. Demaskowała hasło „sztuki dla sztuki", jako przykrywkę dla szalejącej po r. 1905 reakcji, wskazywała, że hołdowanie t.zw. czystej sztuce nieuchronnie prowadzi do rzekomej „apolityczności" i „bezpartyjności", te zaś służą wstecznictwu. „Według tej teorii — pisała „Prawda" — na pierwszym planie znajdować się winna nie treść lecz forma. A najwyżej ceniony jest „talent". „Utalentowany" — znaczy to według teorii „czystej sztuki" — piękny, szlachetny, wzniosły. Zaś w jakim kierunku talent ten się zwraca, to już nas, twierdzą ci ideologowie, nie obchodzi".*

*Upadek literatury rosyjskiej w okresie po rewolucji 1905 roku łączył się z odejściem od wielkich wzorów literatury realistycznej, z zerwaniem z tradycją wielkich pisarzy XIX w., z przekreśleniem nurtu rewolucyjno-demokratycznego przeszłości. Hasło „sztuki dla sztuki" krzewiło krańcowy indywidualizm, psychologizm, pesymizm, mistycyzm i erotyzm. Pisarze cofali się z czołowych pozycji realistycznej prozy rosyjskiej, staczali się na dno artystycznego upadku. „W literaturze — pisał Gorki — dzieje się coś niesłychanego, wciąż dalej posuwa się proces duchowego rozkładu, rośnie cynizm..." Temu procesowi gnicia, spychania literatury pod osłoną „sztuki dla sztuki" na pozycje reakcyjne wydała zdecydowaną bitwę „Prawda". Głosząc postulat ideowości-partyjności literatury, „Prawda" skupiła najlepszych postępowych pisarzy. Wychowywała zastępy nowych talentów na zasadach estetyki marksistowsko-leninowskiej, hartowała je w ogniu walki o zwycięstwo proletariatu. Uczyła realistycznego widzenia rzeczywistości, a w tej nauce odwołała się do postępowego dorobku przeszłości. Odkryła i oświetliła na nowo twórczość Radiszczewa, Puszkina, Gogola, Turgieniewa, Sałtykowa-Szczedrina, Hercena, Czernyszewskiego, Mamina-Sibiriaka, Korolenki i innych. Podniosła zasługi pisarzy ub. wieku w walce z pańszczyzną i niesprawiedliwością społeczną. Powiązała postępowy spadek przeszłości z rewolucyjną teorią marksizmu. Należy z naciskiem podkreślić, że twórcza praktyka „Prawdy" stanowiła przesłankę dla rozwoju późniejszej literatury radzieckiej. Organ bolszewików łączył bowiem dążenie do realizmu z walką proletariatu, określał realizm, jako obowiązującą, podstawową cechę twórczości, która chce służyć wielomilionowym masom ludowym.*

*Działalność „Prawdy" zaważyła wydatnie na kształtowaniu się literatury rosyjskiej w okresie przedpaździernikowym. Zaczynał coraz wyraźniej dochodzić do głosu realizm. Krzepły talenty Gładkowa, Serafimowicza, Nowikow - Priboja i innych. Wzrastała twórczość Maksyma Gorkiego. „Prawda" wpływała także na pisarzy - sympatyków. „Kończą się czasy panowania panów Arcybaszewów, Kamieńskich i innych z ich zmanierowaną, krzykliwą twórczością" — pisał organ bolszewików w 1913 roku. W artykule „Odrodzenie realizmu" „Prawda" stwierdzić mogła wzrost tendencji realistycznych i zanotować ich nasilenie w twórczości Aleksego Tołstoja, Siergiejewa - Ceńskiego, Bunina i innych. Wpływ „Prawdy" docierał do najdalszych zakątków Rosji, pismo wspomagało i skupiało talenty robotnicze, przejawiające się tak w postaci setek korespondencji, jak i w formie oryginalnej twórczości artystycznej. Na łamach „Prawdy" pojawili się nowi pisarze proletariaccy.*

*W roku 1914 przy pomocy „Prawdy" ukazało się zbiorowe dzieło p. t. „Pisarze proletariaccy". Jego twórcami byli autorzy - robotnicy, drukujący się w „Prawdzie"; niektórzy z nich przebywali na zesłaniu lub w więzieniu. Pisali, aby nie tylko czynem, ale i słowem walczyć o zwycięstwo klasy robotniczej. Zbiór ten stanowił jaskółkę przyszłej literatury radzieckiej, ujawniał nowe talenty i tematy, a przede wszystkim olbrzymie twórcze możliwości, tkwiące w wielomilionowych masach ludu. Ukazywał, że walcząca klasa robotnicza zdolna jest do stworzenia nowej, realistycznej literatury, tej, którą postulował Lenin w artykule „Organizacja partyjna i literatura partyjna". Wydawnictwo odsłoniło nowe „elementy kultury demokratycznej i socjalistycznej", o których mówił Lenin w 1913 r. w „Krytycznych uwagach o kwestii narodowościowej": „W każdej kulturze narodowej znajdują się elementy kultury demokratycznej i socjalistycznej, aczkolwiek nierozwinięte, ponieważ w każdym narodzie jest masa pracująca i wyzyskiwana, której warunki życia nieuchronnie rodzą ideologię demokratyczną i socjalistyczną".*

*„Prawda" odegrała wybitną, doniosłą rolę w zakresie dojrzewania rewolucyjnej ideologii i kształtowania nowej proletariackiej literatury. Zmobilizowała masy i ukazała ich twórcze możliwości. Toteż słusznie pisał Gorki w przedmowie do wspomnianego zbioru p. t. „Pisarze proletariaccy": „Jestem głęboko przekonany, że proletariat może stworzyć własną literaturę piękną".*

*Lata po zwycięstwie Rewolucji Październikowej w pełni potwierdziły przekonanie Gorkiego. Rewolucja otworzyła przed literaturą i upośledzonymi dotąd talentami z ludu nieograniczone możliwości. Leninowska zasada partyjności sztuki triumfalnie święciła zwycięstwo w setkach nowych książek, w narodzinach nowych talentów. Odtąd nic już nie stało na przeszkodzie, by sztuka otwarcie i świadomie służyła ludowi. Partia troskliwie kierując rozwojem literatury stanęła na straży interesów ludu i wezwała twórców, by pisząc brali za punkt wyjścia sprawy radzieckiego narodu, jego potrzeby, jego walkę, jego dążenia do socjalizmu. Interesy artysty zbiegły się z celami mas pracujących. Stworzyło to warunki dla powstania wielkiej literatury radzieckiej, rozwijającej się coraz pomyślniej pod troskliwym kierunkiem WKP(b).*

Grzegorz Timofiejew

W. DYCHAWICZNYJ i M. SŁOBODSKOJ

# NIE WIADOMO ZA CO

**Na dnie statku kołysze się rota.**
**Whisky, zabawa, śmiech strzela racą.**
**Jedzie chłopiec ze stanu Dakota,**
**Jedzie bić się nie wiadomo za co.**
**Trochę wódki pociągnął ze szklanki,**
**rżnie śmiałego i siadłszy na koi**
**podniósł do ust piskliwe organki,**
**żeby smutek piosenką ukoić.**
**Po cicbutku z nim śpiewa piechota**
**tę piosenkę każdemu znajomą:**
**„Jedzie chłopiec ze stanu Dakota**
**jedzie bić się — za co, nie wiadomo..."**
**Choć właściwie, wiadomo, gdzie jedzie,**
**jednak pojąć nie może dlaczego?**
**A tak chciałby się żołnierz dowiedzieć,**
**kto do piekła go śle straszliwego.**
**— Kto do walki mnie pędzi zaciekłej!**
**— To twój kapral rozkazał umierać!**
**— A kaprali kto rzuca do piekła!**
**— To generał, mój chłopcze, generał!**
**— A któż śle generałów w pochody?**
**— Śle kapitał, mój chłopcze, kapitał!**
**On już dawno z tych wypraw dochody**
**zliczył, chłopcze mój, w akcjach i kwitach.**
**— No, a gdzież jest nasz sztandar bojowy,**
**nieodłączny druh w walkach zaciętych?**
**— Popatrz dobrze! Nad nasze to głowy**
**flagą wzbija się dolar pomięty!**
**— Czemu marsz nie rozbrzmiewa skrzydlaty,**
**pieśń zamilkła i nie gra orkiestra?**
**— Słuchaj w kasach bankierskich pękatych**
**dzwonią dolary w złotych rejestrach.**
**Choć te dźwięki dla ciebie są obce,**
**bo nie żołnierzom gra złoto w kasach,**
**dostaniesz ty swoją porcję, chłopcze,**
**w kształcie kuli w koreańskich lasach.**
**Dość śpiewania! Bo już nieochota...**
**Zamierają organki z rozpaczą...**
**Jedzie chłopiec ze stanu Dakota,**
**jedzie umierać, lecz nie wie za co.**

Przełożył **Grzegorz Timofiejew.**

ZDZISŁAW POLSAKIEWICZ

# WIATR

**W górach Korei, w Indonezji,**
**wśród głazów, w skwarnym pyle dróg**
**dziewczynie śpiewającej pieśni**
**płomień osmagał smukłość nóg.**
**Przez ogień młoda biegnie szybko,**
**przez świst, przez młodość swą, przez ból**
**i może nagle w gwiździe kul**
**czuje: szczęśliwa pachnie przyszłość**
**w wietrze — od mazowieckich pól.**

**On w ciszę mojej nocy wieje**
**i w światło dnia, i w zachwyt wschodów.**
**Jest snem spokojnym i nadzieją**
**dziewczyny mazowieckiej, młodej**
**co pieszo idzie drogą, polem**
**z błękitem świata w blasku źrenic**
**i także wie, jak serce boli,**
**gdy je osmaga bicz płomieni.**
**Dziewczyno, radość twoja w męce**
**zrodzona, w ogniu twardo rosła**
**i śmiech na wargach twych dziewczęcych**
**sumą doświadczeń wydoroślał.**
**Dlatego dzisiaj, idąc polem,**
**ziemi i marzeń agronomie,**
**słyszysz, jak wiatr ci głosem woła**
**tamtej dziewczyny. I twych wspomnień.**

**I ja bym tobie składać wolał**
**wiersze o kwiatach, łąkach, gajach.**
**Cóż, gdy wiatr po nich jak po polach**
**hula — z Mazowsza i z Malajów,**
**wiatr mazowiecki, Koreański,**
**wiatr, co w cyprysach greckich szumiał,**
**huczy w nim echo salw hiszpańskich.**
**Zrozum — inaczej już nie umiem.**

**Nie umiem. Jeszcze twoje włosy**
**śpiewam i twój codzienny trud,**
**bo wiatr go z tamtą walką łączy**
**i miesza z pyłem tamtych dróg**
**w pieśń jedną. A ją ponad życie**
**cenię i ponad szczęścia wszystkie,**
**i nad przydrożnej cień topoli,**
**i nad własnego serca bicie**
**trącane wiatrem tym jak listek,**
**że serce boli.**

Zdzisław Polsakiewicz

MIECZYSŁAW INGLOT

# ZA 38 RÓWNOLEŻNIKIEM

MELDUNKIEM z pola bitwy nazwać można każdy utwór literacki Ludowej Korei, gdzie o wadze dzieła decyduje i znaczenie jego określa fakt, w jakim stopniu pisarz złączył się z aktualną problematyką swej ojczyzny, ze sprawą walki przeciwko agresorom i interwentom. Te literackie meldunki takie, jak omawiany obecnie przez nas utwór dramatyczny*), posiadają wszystkie wady i zalety „meldunku". Wadą jest pewna surowość w obróbce literackiej, brak pełnego i wyczerpującego zindywidualizowania poszczególnych postaci; zaletą, która niewątpliwie przewyższa te niedobory — rzetelna dokumentarność utworu oraz zobrazowanie głębokiej, gorącej idei patriotyzmu i złączenia się pisarza z narodem w jego nieustępliwej walce aż do całkowitego zwycięstwa.

Dramat „Na południe od 38 równoleżnika" ukazuje sytuację w Korei Południowej bezpośrednio przed agresją. Jak wiadomo, zgodnie z porozumieniem zawartym między ZSRR a USA, Korea została w r. 1945 tymczasowo podzielona na dwie strefy — północną radziecką i południową amerykańską. Rozwój życia politycznego i kulturalnego towarzyszy dniom po wyzwoleniu, w obu częściach kraju. Mnożą się postępowe organizacje i partie polityczne, których zadaniem naczelnym jest walka o zjednoczenie narodu koreańskiego. W czerwcu 1949 roku odbywa się zjazd organizacyjny Jednolitego Demokratycznego Frontu Patriotycznego Korei, który uchwala odezwę do narodu, zawierającą konkretny program pokojowego zjednoczenia kraju. Agitację za zjednoczeniem prowadzi w obu częściach kraju Partia Pracy, pod kierownictwem Kim Ir - sena, wodza narodu koreańskiego. O ile jednak działalność jej na północy rozwija się swobodnie pod opieką władz radzieckich, a później w niepodległej Republice Korei Ludowej, o tyle na południu sprawa wygląda zupełnie inaczej. Już w r. 1945 gen. Hogdes, dowódca amerykańskich wojsk okupacyjnych w Korei, odmówił uznania demokratycznych organów ludowych, uważając, że jedyną władzą w południowej części kraju jest wojskowa administracja amerykańska i skazując tym samym szereg postępowych organizacji na działalność podziemną. W oparciu o byłych japońskich lokajów, obszarników i kapitalistów, Amerykanie utworzyli w sierpniu 1948 roku marionetkowy rząd Li-Synmana. Obejmuje on władzę wtedy, gdy okupanci opuszczają Koreę Południową pod naciskiem narodu. Chociaż wojska amerykańskie opuściły kraj, jednak na terenie Korei zostają amerykańscy doradcy. Rząd USA, pragnąc realizować swój plan w podboju Azji, po niepowodzeniach w Chinach, zwraca baczną uwagę na Koreę. Położenie strategiczne półwyspu, jako bazy wypadowej przeciwko ZSRR i Chinom przyszli agresorzy doskonale oceniają i rękami swych instruktorów zaczynają przygotowywać do tego celu lisynmanowskich żołdaków.

Reforma rolna, wzrost produkcji przemysłowej, dobrobyt mieszkańców — oto rezultaty rządów Republiki Ludowej. Budowa lotnisk wojskowych, magazynów, poligonów, wzmocnienie pozycji obszarnika i kapitalisty, nędza mas, 2,8 mil. bezrobotnych — oto wynik rządów Li Syn-mana i jego amerykańskich instruktorów. Naród koreański widział i porównywał. Walcząc o zjednoczenie, walczył jednocześnie o dobrobyt całego kraju.

Thai Dian Czun w swej sztuce wprowadza nas w krąg zagadnień nurtujących rzeczywistość koreańską przed agresją. Autor rzutuje fabułę sztuki na teren Korei Południowej, ukazując, jaką fikcją jest 38 równoleżnik, tam, gdzie po obu stronach tak samo biją serca ludu wolą zjednoczenia i nienawiści do wszelkiej oficjalnej czy zamaskowanej okupacji amerykańskiej. Problematykę utworu obrazuje Thai Dian Czun przez nakreślenie przedstawicieli ugrupowań, odgrywających zasadniczą rolę w kraju; akcję opiera na ukazaniu tarć i walki tych ugrupowań. Z jednej strony rysuje zatem lisynmanowców, naczelnika policji San Mana, i jego wspólnika kapitalistę Kim Ik To, ukazanych, jako lokajów w rękach amerykańskich: radcy policji Spelmana i Jonsona, kiedyś misjonarza, obecnie radcy prowincji, a w istocie handlarza ryżem konfiskowanym ludności koreańskiej, rzekomo dla potrzeb armii amerykańskiej. Ta łączność bussinesu i policji, zarówno u obcych jak i rodzimych faszystów na ziemi koreańskiej, wraz z nawiasowo ukazaną sylwetką pilnującego portu amerykańskiego krążownika — to rzeczywistość kolonialnego systemu. Przeciwstawia się faszystom grupa patriotów koreańskich z Kim In Czenem, kierownikiem podziemnej komórki Partii Pracy, na czele. Treść dramatu — to los walki tych ugrupowań; na jej tle rozgrywa się proces przejścia inteligenta koreańskiego, lekarza Tian - Men-Si w szeregi bojowników podziemia oraz dramatyczny wątek „bohaterki tragicznej" utworu — córki lekarza, In-Sen, oficjalnie — agentki policji reżimowej, a w istocie członka podziemnej ludowej organizacji.

Zarys akcji przedstawia się następująco: miejscowa komórka Partii Pracy przygotowuje strajk w celu niedopuszczenia do załadunku ryżu na statki amerykańskie. Zagraża to interesom Jonsona i Spelmana, którzy chcą zarobić na tym towarze. Strajk wybucha. Amerykanie pragną zdusić go siłą, przy użyciu oddziałów policji lisynmanowskiej i własnych sił zbrojnych. Robotnikom przychodzą z pomocą partyzanci, którzy dzięki wskazówkom In-Sen opanowali miasto, pokonując wysłane przeciwko nim grupy likwidacyjne. W międzyczasie ginie jednak In Sen, zdemaskowana przez swego szefa — naczelnika policji San Mana a zastrzelona przez Spelmana.

Bohaterstwo, patriotyzm, poświęcenie, oto cechy występujących w dramacie bojowników-komunistów. Działalność ich ożywia świadomość, że walcząc o zjednoczenie, walczą o szczęśliwe jutro, takie, jakie rząd ludowy realizuje w Korei Północnej takie, jakie zrealizował już w ZSRR. Wzruszająca jest scena, gdy członek ruchu podziemnego, gazeciarz Czer Son, przekazuje bezrobotnym i prześladowanym rodakom wiadomość, że „koreańska Rep. Lud. rozdaje chłopom ziemię, a ZSRR przysyła Korei ryż, traktory i samochody".

Do szeregów walczących zgłasza się także Tian Men Li. Ten koreański inteligent wierzy w jakiś ponadklasowy humanitaryzm uznawany przez wszystkich ludzi. Wezwany dla zrobienia opatrunku rannemu przez amerykańskiego oficera robotnikowi-komuniście Czan - Hajowi, widzi w nim tylko rannego człowieka i uważa, że nawet wrogowie powinni to uznać. Ale dla Amerykanów istnieje tylko Czan - Haj, „przestępca". Mordują go tedy, a lekarza aresztują za udzielanie pomocy. Pochylony nad ciałem zastrzelonej córki, Tian Men Li mówi do partyzantów: *„Przez całe życie zdawało mi się, że głównym źródłem mądrości jest miłość i współczucie dla wszystkich ludzi bez różnicy. Zdawało mi się, że słońce nie uznaje pokrewieństwa, że świeci jednakowo dla wszystkich. Nauczyliście mnie innej mądrości, mądrości walki i nienawiści do wrogów".*

Najtrafniej ukazał autor świat owych wrogów i ich marionetek. Misjonarz Jonson mówi do swego wspólnika Spelmana: *„Wszechświat opiera się na dwóch filarach, na idei moralnej i materialnej amerykańskiej rasy oraz na idei walki z czerwonym niebezpieczeństwem. I my obaj powołani jesteśmy do umocnienia tych idei tu, na Oceanie Spokojnym, na tej arenie przyszłych walk w imię panowania nad światem. Ta bitwa zbliża się, czas jej już nadchodzi i nam przypadł honor bitwę tę rozpocząć.* Spelman odpowiada ironicznie: *„Niech pan lepiej powie, co nam pisze agent z Nagasaki".* Zza dymnej zasłony haseł o „wolności amerykańskiej", o „misji dziejowej" i „czerwonym niebezpieczeństwie", wyłania się brudna walka o zysk żrących się między sobą aferzystów „od ryżu", którzy tak, jak dziś nie wahają się użyć wojennego okrętu i aparatu policyjnego, aby zapewnić dogodny eksport zrabowanego towaru, tak jutro nie zawahają się puścić w ruch machiny wojennej, aby robić interesy na przelewanej krwi. *„Czas już przejść od ryżu do operacji poważniejszych"* — stwierdza cynicznie Spelman. Amerykanie nie uznają uczciwości nawet w stosunku do własnej armii, którą okradają, handlując zrabowaną w jej imieniu żywnością. Z pogardą odnoszą się do swych wspólników z obozu lisynmanowców, jako do ludzi niższej rasy. Jak się łączy ten rasizm z eksploatacją i gdzie tkwią jego wzory pokazuje autor dobitnie na przykładzie Murzyna Davisa, żołnierza armii amerykańskiej w Korei. W walce toczącej się przed jego oczyma staje Davis po stronie koreańskich patriotów. Człowiekowi, którego ojciec głoduje, wyzyskiwany na plantacjach, gdzieś nad Missisipi, bliższy jest koreański robotnik, niż gardzący Murzynem Spelman.

Postać In Sen spełnia w dramacie rolę bohaterki tragicznej. Życie jej to jedno pasmo poświęceń dla sprawy; dla niej to rezygnuje nawet z szacunku bliskich, rodziców i współrodaków, gdy otoczona powszechną pogardą pracuje w lisynmanowskiej policji. Na końcu dramatu In Sen ginie. Ale autor trafnie ukazuje, że nie ginie idea, o którą walczy dziewczyna koreańska, że jej śmierć nie była śmiercią daremną, że przyczyniła się do zdecydowanej przemiany postawy politycznej jej ojca, że dalej będzie mobilizować do walki. Koreańscy patrioci, pozytywni bohaterowie utworu, pokazani są jasno i dobitnie. Reprezentują oni w utworze nie tylko swój naród — walczą oni z policyjno - kupiecką szajką zbirów w imię najszlachetniejszych idei ludzkości — w imię wolności i niepodległości wszystkich narodów świata.

Mieczysław Inglot

*) *Thai Dian Czun, Na południe od 38 równoleżnika, „Czytelnik", 1951.*

ANDRZEJ DRAWICZ

# JESZCZE O „POKOLENIU"

JEŻELI w ślad za Jarosławem Iwaszkiewiczem określimy dzieła literackie jako kamienie formujące dno świadomości narodowej — to wypadnie pamiętać, że tak jak te ostatnie rzucane do wody mącą jej powierzchnię w koncentrycznie rozchodzące się kręgi — podobnie dzieło pisarza czy poety, o ile odpowiada potrzebom swojego czasu, o ile jest rzeczywiście współczesne — wywołuje szeroki, daleko rozlegający się rezonans w postaci ocen, polemik, dyskusji, omówień — często ostro zarysowanych, czasem sprzecznych, a w sumie świadczących o tym, że mamy do czynienia z czymś, co wszystkich dotyczy, wszystkich obchodzi — stanowi jednostkowe potwierdzenie socjalnej tezy o literaturze jako narzędziu poznania i przekształcania świata. Wyrósł już nowy czytelnik, nowy odbiorca, spragniony literatury, która pomoże mu w rozwiązaniu jego spraw i konfliktów, żywo reagujący zwłaszcza wtedy, gdy znajduje wśród nowych pozycji wydawniczych te, na które czekał. Że wypadki takie są wciąż jeszcze dość rzadkie o tym wiemy zbyt dobrze. Z tym większym zadowoleniem przychodzi obserwatorowi odnotować momenty pojawienia się owych „kręgów na wodzie", wskazujących pewniej niż indywidualne krytyczno-fachowe, nieraz nie podbudowane właściwym uzasadnieniem, aplauzy, że mamy do czynienia z wydarzeniem, a nie z fakcikiem, ze zjawiskiem, a nie z jedną więcej pozycją katalogu wydawniczego.

Taką sytuację mieliśmy ostatnio dzięki „Pokoleniu" Bohdana Czeszki *). Mówiło się i pisało o tej książce dużo i dobrze — ale chyba nie za dużo i nie za dobrze. Otrzymaliśmy nareszcie obrachunek z czasami okupacji, który mógł swą zasadniczą linią całkowicie zadowolić. Ujrzeliśmy ów okres jako okres kształtowania się ludzi naszych dni, przedstawicieli naszego światopoglądu w okresie ich dorastania do wielkich zadań, jakie mieli podjąć wówczas, jakie mają wykonać teraz. W przeciwieństwie do tamtych — częściowo tylko prawdziwych, zawężanych naturalistycznymi obciążeniami, ujętych w autorski cudzysłów — są to rzeczywiste początki edukacji, która objęła pokolenie Stachów, Jurków, Jasiów i uczyniła z nich przyszłych budowniczych Polski Ludowej. Rolę wychowawczą spełniła Polska Partia Robotnicza — jej oddziaływanie mobilizowało w ramach Frontu Narodowego szerokie rzesze uczciwych Polaków do walki z najeźdźcą.

To założenie ideowo-tematyczne udało się pisarzowi na ogół bardzo trafnie zrealizować. Mówią o tym głosy czytelników, ludzi, którzy wyrastali w podobnych warunkach, przechodzili podobną ewolucję i stąd też, jak pisze jeden z nich w „Pokoleniu" „...szukają z niepokojem wyroku we własnej sprawie". Że wyrok jest sprawiedliwy, a jego motywacja przekonywająca — dowodzi ton wypowiedzi, tych choćby, którym „Wieś" użyczyła ostatnio swoich szpalt „Rzadko zdarza mi się czytać którąś ze współczesnych powieści polskich z tak głębokim przejęciem i zainteresowaniem jak „Pokolenie" Bogdana Czeszki" — pisze Tadeusz Muras. I on i sąsiadujący z nim na szpaltach tygodnika dyskutanci przytaczają fragmenty autentycznych — własnych lub znajomych sobie życiorysów na dowód, że „tak właśnie było". Padają przy tym różne zarzuty — będzie jeszcze o nich mowa dalej — wypływające z gorącego, mniej lub bardziej ugruntowanego życzenia, aby książka ta stała się jak najlepszym, jak najpełniejszym obrazem tamtych dni.

Czy obraz ten jest rzeczywiście pełny? Ambicja pisarska, zmierzająca do zrealizowania tego postulatu, daje się zauważyć już w samym układzie wątków fabularnych utworu. Wkraczamy do różnych środowisk, widzimy przedstawicieli i ich reakcje wobec problemów, które nasuwa okres okupacji. Jest w książce niewątpliwie rozmach epicki, wsparty umiejętnością indywidualizowania każdej postaci, wielopłaszczyznowością jej naświetlenia, przebiegającą od zwięzłych, wtopionych w tekst odautorskich relacji, poprzez widzenie jednostek w pryzmacie spojrzenia innych osób, aż do najchętniej przez autora stosowanej i przeprowadzonej w sposób znamionujący „dobrą robotę" charakterystyki pośredniej. Postacie (zwłaszcza główni bohaterowie) określają się same poprzez swe czyny, reakcje, stosunki z otoczeniem — autor zaś umiejętnie dobiera takie elementy narracji, które umożliwiają czytelnikowi jak najpełniejsze skonstruowanie ich wizerunku. Czy metoda taka, będąca w założeniu zaprzeczeniem wszelkiej deklaratywności i „łopatologii" wydaje wszędzie dobre rezultaty? Otóż właśnie postacie centralne — Jurek i Staszek cierpią w wyniku jej zbyt konsekwentnego stosowania, na coś, co można by nazwać niedowładem ideologicznej motywacji. Ci pozytywni bohaterowie przechodzą ewolucje światopoglądowe i to chyba zbyt pobieżne — tylko w pierwszej części utworu — do chwili w której zostają gwardzistami. Dalej widzimy ich w licznych „akcjach", dowiadujemy się o organizacyjnych awansach, obserwujemy ich zachowanie — coraz mniej wszakże wiedząc o jego głębszych pobudkach. A przecież książka mówi o edukacji pokolenia! Można było, nie obawiając się deklaratywności, spróbować sięgnąć do psychologicznych przesłanek ideowej postawy bohaterów, a nie kazać nam się jej domyślać ukazując niejako gotowe rezultaty. Jeszcze wyraźniej niedorysowane, właśnie pod kątem wpływów ideowych na swych współtowarzyszy są autentyczne postacie bohaterów młodego pokolenia — Hanki Sawickiej i „Kazika" — Janka Krasickiego. Pojawiają się i odchodzą — rozczarowany czytelnik widziałby chętnie próbę oddania literackiej sprawiedliwości tym ludziom - sztandarom — wie, że na taką próbę autora stać.

„W złożonej instrumentacji przedstawiającej świat człowieka radzieckiego nie wolno używać jedynie instrumentów dętych" — powiedział Ilia Erenburg. Dopowiedzmy — nie wolno ich jednak zbytnio przyciszać, bo orkiestra zabrzmi fałszywie. Toteż wytknięcie tych pewnych niebezpieczeństw każe zarazem złączyć sprawy tzw. „warsztatu" z ideowym nastawieniem pisarza, i szukać ich korzeni w nieprzezwyciężonych może do końca reliktach naturalistycznych, obciążających ongiś „Początki edukacji". Nie chodzi tu wszak o przysłowiowe „wygryzanie dziur w serze szwajcarskim" — jeśli „Pokolenie" jest mimo wszystko książką świetną, to mamy prawo życzyć autorowi, by o następnej jego pozycji mówiło się, że jest świetna bez owego „mimo wszystko". A taki jest przecież, między innymi, sens toczących się wokół sprawy „Pokolenia" dyskusji.

Pretensje pod adresem niezupełnie zadowalającej charakterystyki ideowej przedstawicieli młodego pokolenia nie sposób natomiast przenieść na grupę działaczy partyjnych. Są oni, z racji świadomego zamierzenia autorskiego wprowadzani do akcji bardziej fragmentarycznie, ale ich postawa, ich stosunek do młodych — podkreślany przez dyskutantów jako bardzo trafnie nakreślony — zarysowują nam obraz PPR-owca na miarę lat walki. Szkoda, że w dalszych partiach książki poza kapitalną sceną likwidacji konfidenta — troskę i opiekę nad młodymi dostrzega się już mniej wyraźnie. Za to widać rezultaty — w doskonale napisanej choć kompozycyjnie może zbyt wyodrębnionej z całości partii powstania — linia podziału między walczącymi oddziałami AK i AL zarysowana jest skrótowo, ale wyraźnie i jednoznacznie.

Dalsze zagadnienia nasuwające się przy analizie utworu pozostają w związku z jego kompozycją. Wyraźne i chyba uzasadnione ramy chronologiczne były jednakże krytykowane przez część dyskutantów. Domagano się sięgnięcia bardziej w przód — ukazania bohaterów „Pokolenia" przy pracy w Odrodzonej Polsce. Sugestie łatwe do zrozumienia, miłe autorowi jako dowód żywości oddźwięku i plastyczności jego bohaterów — ale zgodzić się z nimi trudno. Wszyscy wzdychamy do wielkiej epopei naszych czasów na miarę „Cichego Donu" lub „Drogi przez mękę" — cóż, kiedy ogrom wymagań przy realizacji takiego zadania wydaje się wciąż jeszcze przerastać siły poszczególnych twórców. Toteż nie miejmy pretensji do Czeszki za to, czego nie napisał — cieszmy się z tego co już jest, i pamiętajmy o tym, że autor reprezentuje w tej chwili duże możliwości i takież ambicje. Resztę przyszłość pokaże.

Pretensje dałyby się wyciągnąć, w niewielkim zresztą stopniu, z innego tytułu. Mianowicie — powieść jest jako się rzekło, wielowątkowa — stąd sprawą nie lada kunsztu staje się jej przejrzysty, logiczny układ. Zostaje to w dużym stopniu zrealizowane. Zastrzeżenia można by mieć jednak w stosunku do problemu żydowskiego, który tylko bardzo luźno, poprzez postać Jurka łączy się z głównym nurtem utworu, następnie zaś aż do końca przebiega zupełnie niezależnie i w konsekwencji marginesowo poza właściwym biegiem wypadków. Zapewne, wzbogaca to obraz pokolenia, ale nie w tak konsekwentny sposób jak ma to miejsce gdzie indziej. Podobnie w ciepłych barwach nakreślony wątek zbliżenia Anny, Marii i Jurka — mający zapewne poszerzyć obraz o charakterystykę specyficznego typu dulszczyzny, a także uwydatnić pewne niekonsekwencje ideowe Jurka — jest jakiś napoczęty i zbyt szybko zakończony. Nie skorzystawszy z rozwiązania ciekawie zapowiadającego się konfliktu między dwoma moralnościami autor wyeliminował pośpiesznie „pannę z dobrego domu" poza ramy powieści. Przypomina to trochę Mikołaja z „Początków edukacji", którego narrator tak długo agituje do lewicowego podziemia aż ów wstępuje... do AK. Tradycja nienajlepsza. Na drodze głębszego potraktowania tej sprawy dałoby się też może zaspokoić pretensje wysunięte przez niektórych dyskutantów o zbyt silne zwężenie bazy społecznej, z której rekrutują się bohaterowie „Pokolenia" do ludzi od początku silnie związanych z lewicą z pominięciem błądzących, obałamuconych — tych wszystkich co „doszlusowali" później. „Ale czy obałamucona młodzież, którą Czeszko tak świetnie ukazał w swej książce składa się także i z jednostek, które kiedyś spotkają się z byłymi gwardzistami? W świetle „Pokolenia" — niestety nie" — pisze na łamach „Wsi" Edmund Sas. Istotnie — pełniejsze naświetlenie tego problemu ogromnie wzbogaciłoby treść ideową powieści, ale jego brak nie załamuje raczej podstawowego problemu historycznego utworu.

Niesposób wreszcie pominąć tak wyraźnych zalet metody pisarskiej Czeszki udatnie wspierających jego zamierzenia jak umiejętne stosowanie różnych typów narracji, pozwalającej na pełną charakterystykę sylwetek ludzkich — jak oszczędny aż do surowości, lapidarny język, doskonale zróżnicowany w obrębie poszczególnych środowisk. Bardzo udatnie nadają element kolorytu lokalnego i nawiązania do czasu akcji krótkie, plastyczne opisy sytuacyjne, pełniące niejednokrotnie wyraźną rolę kompozycyjną (np. na początku poszczególnych rozdziałów).

Wszystko to — poza wymienionymi wyżej usterkami pełni swą funkcję współdziałania w realizacji założeń ideowo-tematycznych utworu. W wyniku — powstała książka „nasza", dobra, potrzebna, książka ucząca nas dziejów okresu niedawno minionego, który przeszedł już do historii, ale którego bohaterowie żyją i pracują wśród nas. Nie samym wspomnieniom minionych lat, nie rozpamiętywaniu ich grozy i okrucieństwa (zauważmy, jak mało miejsca w tej książce zajmują Niemcy) poświęcone są jej karty — każda z nich każe nam wybiegać myślą w przyszłość, która stała się teraźniejszością, każe jeszcze raz wrócić pamięcią do tamtych czasów, by lepiej zrozumieć zadania stojące przed nami teraz.

Zmuszając do myślenia, prowokując wypowiedzi, wywołując dyskusje „Pokolenie" pięknie spełniło, mimo wszelkich braków, swoje zadanie.

**Andrzej Drawicz**

*) Bohdan Czeszko, „Pokolenie", Czytelnik, 1951.

# W BRZEZINACH

*(Dokończenie ze str. 3-ej)*

Sędkowska — o, niedawno organizował dożynki w Dobrzelinie, a organizował je również w gminie, w Pleckiej Dąbrowie.

— Owszem ja i tańca nauczę i pieśni, a znam się i na poważnych rzeczach, byłem przecież przez dwa lata nauczycielem w szkole rolniczej w Śleszynku.

— Posłuchałbym tej waszej piosenki, którą żegnacie widzów — powiedziałem.

— Oczywiście, że zaśpiewamy. Od niej powinniśmy zacząć. Ustawili się w rząd na scenie. Sołtys znalazł się przy swej pięknej żonie, wielki Sławek Mirowski objął młodziutką Jadwinię Łysiównę, która sięgała mu ledwie ramienia — i poczęli śpiewać. Nuta piosenki naśladowała rytmy walca, sens jej był przejrzysty, chodziło o wytłumaczenie idei szuki, nie byłem nią jednak podbity, jak owymi komicznymi scenami, zagranymi ze swobodą, z wielkim temperamentem przed chwilą.

Łukasiak podchodził do mnie onieśmielony.

— No i jak pan widzi ten wiersz? Więc się nie podobał?

— Nie o to idzie.

— A o co?

— Widzi pan — zastanawiałem się — ja bym wolał aby pan wykorzystał swoje zdolności wierszopisarskie w bardziej zdecydowanym kierunku. Na przykład, gdy stworzycie w świetlicy gazetkę ścienną, pisałby pan cięte, jak to pan potrafi, utwory o życiu w gromadzie, w gminie, atakował, ośmieszał opieszalca i wroga.

— Myśleliśmy o takich wierszach, mówiących o naszej walce o pokój — wtrącił się do rozmowy sołtys.

— Można, na pewno spróbuję — bąkał Łukasiak — niech pan powie, więc tamto, tamto jest jednak źle napisane?

— Zarecytuj pan pierwszą strofkę.

*„Zakończył się już teatr nasz*
*Tej sztuki sprzed stu lat.*
*Że rozpogodził waszą twarz,*
*Każdy z nas szczerze rad"...*

— począł szybko mówić Łukasiak, głos jego mimo woli przechodził w nucenie. Płynęły zwrotki, jedne zgrabne, drugie chropawe, zastanowiła mię jedna z nich, która choć nieporadna, zwiastowała to, o czym myślałem, mówiąc o gazetce ściennej w świetlicy.

*„Bo było tak,*
*Że bogacz, pan, rozkoszne życie wiódł*
*A lud do ciężkiej pracy gnan*
*Z nędzy i głodu chódł"...*

— Nie, głowa do góry, panie Łukasiak — zawołałem — stanowczo powinien pan zwrócić swą uwagę na gazetkę ścienną. Tam dopiero praca pana znajdzie się na właściwym miejscu...

III

Zanocowałem u Sędkowskich. Młodzi odstąpili mnie swoje łóżko, poszli do teściów, więc nie uciszywszy jeszcze po rozmowach rozpalonej głowy, rozbierałem się powoli, gotowałem się do spania.

Naftowa lampa niepełnie oświetla dużą, głęboką izbę. Kot chodził po polepie, cienie raz po raz płoszyły się, wybiegały na ścianę, gdy tylko gospodarze kierowali się ku piecykowi czy drzwiom.

Oni kładli się już spać, a ja przykulony pod świeżo obleczoną pierzyną, przyciskałem głowę do poduszki i myślałem o przebytym dniu pełnym doznań i natłoku faktów. „W samej rzeczy — szeptałem — jest wiele pocieszającego w tych Brzezinach. Choćby ten zryw gromady jesienią przy składce na świetlicę, choćby ta piękna niecierpliwość, by zdziałać jak najwięcej, by nadrobić zaniedbania poprzednich lat. Ludzi zdolnych im nie brakuje. Na przykład Łukasiak. Człowiek to obdarowany przez naturę naprawdę. No a ci, młodzi, to młode pokolenie inteligentów chłopskich wyrosłych już po wojnie, aktywistów ZMP, sołtys i jego żona Zosia, Władek Wójcik.

Łukasiak? No, tak, na niego za bardzo liczyć nie można, te 10 hektarów, które posiada, staną na jego drodze, nie pozwolą mu zerwać z dawnym szczerze, bezkompromisowo. Chociaż, chociaż, a nuż się mylę!... Ma czworo dzieci, żonę, dwoje starych ojców, sam haruje od rana do wieczora, chęci i zainteresowania ciągną go w inną stronę!

Światło zgasło. Starzy zamilkli, nasłuchiwali jakby w ciszy.

— Gwiazdy wciąż świecą?

— Świecą — uspokoiła męża Sędkowska.

Słuchałem ich słów jak w półśnie, nie otwierając oczu myślałem na odmianę teraz o swojej młodości — o ciężkim życiu chłopskim w latach dziesiątych i dwudziestych.

Jak piękniej będą teraz żyć ci młodzi w nowej socjalistycznej wsi! Kina, chóry, biblioteki — wszystko pod ręką. Byle tylko wola była, byle chęć nauki! Możliwość wybicia się, zrealizowania marzeń istnieje wprost olbrzymia...

A kiedyś? Ciężko było, upadało się od rozpaczy, od biedy, od upokorzenia. Gdzież książkę można było znaleźć, gdzie odszukać ludzi, którzy mieliby zrozumienie dla zapalczywych planów i marzeń biednego dziecka chłopskiego?

Pisałem tak o tych czasach...

„Zamarznięte drogi, śnieg kosi
ostatnie liście,
a ja za książką bosy w noc idę,
bo i w śnie czekam na losu innego
przyjście...

Jakże pragnęło się innego życia, życia owianego weselem, radością, nadzieją, pozbawionego elementów krzywdy i pohańbienia. I oto przyszło, przyszło! Na razie pączkuje, ale jest, ale rozwija się — przed nim nieogarniona przyszłość!!

**Stanisław Piętak**

JANUSZ PELC

# O ROBOTNIKACH I DYREKTORZE FABRYKI W PIASKACH

OSTATNIA powieść Aleksandra Jackiewicza „Penicylina"*) porusza zagadnienie z zakresu tematyki produkcyjnej. Temat powieści — walka załogi fabryki farmaceutycznej w Piaskach pod Warszawą, najpierw o ochronę fabryki przed niszczycielską ręką faszystów hitlerowskich, cofających się pod naporem Armii Czerwonej, potem po wyzwoleniu, o uruchomienie fabryki, wreszcie, w fazie ostatniej, o rozpoczęcie krajowej produkcji penicyliny — nawiązuje do zagadnień kilkakrotnie już poruszanych w powojennej powieści polskiej. W pierwszym rzędzie należy tu wymienić takie pozycje jak „Fundamenty" Pytlakowskiego, „Nr 16 produkuje" Wilczka, „Na przykład Plewa" Hamery czy „Mirków ruszył" Żesławskiego. Jackiewicz mógł się więc oprzeć na dość bogatym zasobie doświadczeń swych poprzedników.

Pierwszy rozdział powieści Jackiewicza zbliżony jest tematycznie do prologu „Fundamentów" Pytlakowskiego. Jackiewicz uniknął tu wielu błędów książki Pytlakowskiego. Szerzej i pełniej ukazał świadomą walkę robotników w obronie własności narodu. Czujniej niż Pytlakowski obserwuje żołnierzy niemieckich; SS-manom i oficerowi — pruskiemu junkrowi przeciwstawia żołnierza Wehrmachtu — ślusarza, który stoi wyraźnie po stronie kolektywu robotników fabrycznych walczących przeciw grabieży i wandalizmowi faszystów. Niewątpliwym osiągnięciem Jackiewicza jest zarysowanie momentu wyzwolenia, dokonanego z udziałem miejscowych robotników. Stary, przedwojenny działacz robotniczy — Zagórny, uczestnik walk w Hiszpanii — Suchy i młody robotnik, członek A. L. — Wieczorek stają ramię przy ramieniu ze swymi wyzwolicielami.

Zadanie uruchomienia fabryki, stojące przed kolektywem robotniczym po wyzwoleniu Jackiewicz ujmuje na płaszczyźnie starcia robotniczego entuzjazmu, zapału do pracy z inteligencką niewiarą w siły ludu. Mimo skrótowego ujęcia toku wydarzeń pierwsza część powieści odznacza się dużą dozą realizmu. Postacie — mimo, że często tylko naszkicowane — potrafią udźwignąć ładunek problemów istotnych i typowych, którymi obarczył je autor. Jackiewicz głębiej i sugestywniej niż jego poprzednicy pokazał, że w głębinach naszej rewolucji burzyła się potężna fala ludowego entuzjazmu, która dźwignęła kraj z gruzów i stworzyła nowe życie. Jednocześnie zaś w większym stopniu, niż dotychczasowe próby w zakresie „powieści produkcyjnej" przełamał „papierowość" bohaterów, zbliżył nas do ich codziennego życia, a z drugiej strony osiągnął i to, że realizm szczegółów nie zakłóca nigdzie realizmu problemów. Dzięki temu obrazy, choć niewykończone, są sugestywne, czyta się je z pełnym zainteresowaniem.

Decydującym dla przyszłości fabryki momentem staje się objęcie stanowiska dyrektora przez inż. Seydę, reemigranta z zachodu, doskonałego fachowca — chemika. W chwili przybycia Seydy fabryka jest terenem walki o wychowanie nowego człowieka, świadomego w pełni pracownika i gospodarza swego zakładu pracy.

Problem wroga, którego trzeba zdemaskować, by dać robotnikom lekcję czujności klasowej i wydrzeć słabszych spod wrogich wpływów został pomyślany mniej banalnie niż to miało miejsce w większości dotychczasowych powieści tego typu. Kotowicz, kierownik aprowizacji w fabryce, prowadzący subtelny sabotażyk w sprawach stołówki jest jednak groźniejszy wskutek swych poczynań na innym terenie. Mało zarabiający robotnicy znajdują w godzinach popołudniowych dodatkową pracę w jego (t. j. „jego żony") fabryczce na Pradze. Prowadzi to nie tylko do bumelanctwa i lekceważenia spraw fabryki. Uprzedzająco grzeczny, płacący lepiej niż fabryka państwowa, Kotowicz usiłuje wytworzyć mit „dobrego przedsiębiorcy", zaciemnia świadomość klasową grupy robotników, ulegających pojęciom drobnomieszczaństwa, tworzy sobie silne stronnictwo na terenie fabryki. Niestety ten pomysł ciekawy i nasuwający możliwości interesujących literacko rozwiązań został przez pisarza nie rozwinięty, załatwiony przy pomocy relacji bohaterów głównie i wykorzystany tylko dla kilku banalnych ujęć, nieudolność zaś walki z Kotowiczem kompromituje organizację partyjną fabryki w Piaskach.

Lepiej niewątpliwie ukazana została troska kolektywu robotniczego o nowe kadry, przejawiająca się w dążeniu do stworzenia przy fabryce szkoły zawodowej dla młodzieży i kursów dokształcających dla robotników. Atmosfera moralna, którą wytwarza kolektyw potrafi dźwignąć bliskich wykolejenia ludzi, jak to wskazuje sprawa Misiaka.

Wszystkie jednak te sprawy usuwa w cień problem ewolucji ideowej Seydy. Jest to niewątpliwie zjawisko typowe dla przemiany wewnętrznej najlepszych przedstawicieli dawnej inteligencji polskiej, etapy jej w wielu wypadkach są ujęte słusznie i ciekawie. Jednakże masywna sylwetka dyrektora przesłania w ostatniej części powieści inne zagadnienia fabryki. O ile do przybycia Seydy mamy powieść o robotniczej załodze fabryki w Piaskach, to od momentu objęcia przezeń stanowiska dyrektora głównym problemem powieści staje się ewolucja pozytywnego reprezentanta inteligencji. Mimo z gruntu odmiennych założeń autor popadł tu w błędy popełnione przez Wilczka w „Nr 16 produkuje". I tu i tam fabryka, robotnicy są pokazani przede wszystkim przez pryzmat losów dyrektora.

W drugiej części „Penicyliny" postacie robotników bledną, stają się dwuwymiarowe i niedorysowane, ale postać energicznego, zdolnego wybitnego dyrektora otrzymuje pewne pogłębienie psychologiczne, skupia na sobie uwagę pisarza i czytelnika. Błąd artystyczny — papierowości postaci robotników jest uwarunkowany błędem ideologicznym — scentralizowaniem uwagi w powieści o fabryce na wybitnej indywidualności dyrektora, który staje się głównym bohaterem.

Jeśli już mowa o niedociągnięciach artystycznych warto zwrócić uwagę na bardzo poważną skazę, jaką jest brak kompozycyjnego powiązania między pierwszą a drugą częścią powieści, które wprawdzie wcale nie są rozdzielone przez autora, lecz nawet mimo to bardzo wyraźnie i zbyt silnie odcinają się od siebie. Stąd m. in. zarzucenie historii rodziny Wieczorków, ukazanej na pierwszym planie w pierwszej części powieści. A szkoda, gdyż problemy życia rodziny robotniczej, historia wyrastania Magdy Wieczorkowej na przodującą robotnicę fabryki to istotna część spraw kolektywu w Piaskach.

Poważnym problemem jest sprawa pokazania organizacji partyjnej w powieści. I tu musimy sobie powiedzieć iż Jackiewicz nie wyszedł wcale poza błędy poprzedników. Rola organizacji partyjnej w powieści jest marginesowa, słaba, jej działalność ukrywa się gdzieś za sceną, dowiadujemy się o niej z komentarza autorskiego, relacji bohaterów, ewentualnie widzimy udział aktywu partyjnego w zebraniach rady zakładowej. Próby pokazania roboty partyjnej na codzień są nieliczne i w większości wypadków pozbawione należytej wymowy.

Podobnie ze sprawą inicjatywy w produkcji. Początkowo znajduje się ona całkowicie w ręku robotników, ale z przybyciem Seydy wyraźnie przechodzi w jego ręce. Wprawdzie pierwszy projekt produkcji penicyliny rodzi się w głowach robotników, ale spójrzmy na realizację. Tu naprawdę trzeba by się bardzo zastanowić czy Seyda realizuje projekt robotników, czy też może organizacja partyjna pomaga Seydzie w realizacji jego osobistych planów.

Z kwestią typowości wiąże się jeszcze jedna sprawa, sprawa współzawodnictwa. Ostatni etap powieści odbywa się jesienią 1948 i wiosną 1949 r., a więc na długo po apelu Pstrowskiego, kiedy już fala współzawodnictwa dotarła do różnych zakątków kraju. W Piaskach mamy sytuację bardzo dogodną i jak gdyby specjalnie przygotowaną na wprowadzenie współzawodnictwa. Oto UNRRA odmówiło dostaw maszyn do produkcji penicyliny. Dyr. Seyda zobowiązał się wobec władz, że produkcja penicyliny, mimo to, rozpocznie się w ustalonym terminie i właśnie referuje sprawę zobowiązania robotnikom. Czytelnik przygotowany jest, iż za chwilę dyrektor skończy i przemówi załoga, że posypią się zobowiązania. Tymczasem skończyło się tylko na poleceniu dyrektora, robotnicy polecenie wykonali, współzawodnictwa jak nie było tak nie było.

W powieści Jackiewicza z przybyciem Seydy następuje widoczne załamanie realizmu. Wydaje się, że postać Seydy miała być tym reflektorem, który ukazałby doniosłość istnienia kolektywu robotniczego i jego rolę w życiu fabryki. Autor pokusił się o stworzenie tego inteligenckiego medium głównie zdaje się w tym celu, aby uprawdopodobnić jego zachwyconymi komentarzami rolę swych bohaterów robotniczych. Ale sprawa ta rozpadła się w toku realizacji. Typowa, na ogół, historia przemian pozytywnego inteligenta, historia „wychowywania sobie dyrektora" przez aktyw robotniczy przerosła inne, istotniejsze dużo sprawy, postać Seydy przesłoniła całą fabrykę.

Powróćmy teraz do pytania postawionego na początku. Czy autor nauczył się czegoś na błędach poprzedników? Myślę, że zbyt mało zwłaszcza na swoje niewątpliwie bardzo duże możliwości! W zestawieniu choćby z powieścią Wilczka „Nr 16 produkuje", należy stwierdzić, że „Penicylina" Jackiewicza jest niewątpliwie książką ciekawszą i lepiej napisaną. O wiele żywszy tok narracji, większa dynamiczność akcji, postawienie i bądź co bądź pogłębienie niektórych konfliktów, nie zawsze wprawdzie słusznych i nie zawsze typowych, mniej jednak naiwnych i banalnych, wreszcie próba pogłębienia psychologicznej charakterystyki postaci, udana w stosunku do jednego bohatera — dyrektora Seydy, wszystko to zarazem sprawia iż „Penicylina", mimo usterek kompozycyjnych i papierowości pozostałych postaci, jest bardzo interesującą lekturą. Jest to jednak raczej wynikiem wyrobienia pisarskiego autora, nie zaś twórczej pracy nad konstrukcją powieści. W przeciwieństwie do książki Mirosława Kowalewskiego pt. „Kampania znaczy walka" a i do powieści Wilczka, „Penicylina" jest próbą stworzenia powieści nie o technicznym rozwoju produkcji lecz o ludziach, o producentach i przemianach w ich świadomości, w ich życiu. Próba ta nie udała się w pełni pisarzowi i w ostatecznej ocenie ustępuje pod tym względem książce „Na przykład Plewa" Hamery, choć Jackiewicz operuje nierównie bogatszym i dojrzalszym warsztatem artystycznym.

Trafna wymowa ideologiczna i artystyczna niektórych scen z drugiej części powieści — np. porażka dyr. Molendy z fabryki „Zawory" — wreszcie realizm części pierwszej wskazują, że autora stać na lepsze, słuszniejsze opracowanie tematu. Duże wyrobienie pisarskie Jackiewicza zobowiązuje go do większego zwrócenia uwagi na sprawy typowości postaci i typowości konfliktów oraz pogłębienia rysunku tych postaci i konfliktów, które to sprawy są głównym mankamentem tak ideologicznej jak artystycznej strony powieści.

Elementem realizmu socjalistycznego w powieści jest entuzjazm, optymizm, wiara w przyszłość i w młodzież, bijąca z ostatnich kart powieści. Mimo wszystkie błędy autora, czytelnik musi przyznać, że wówczas w Piaskach czuć powiew nowego życia, wyrastającego w walce o socjalizm. Szkoda tylko, że to życie tak mało pokazane jest na przykładzie tych, którzy je tworzą, że zjawia się tak bezosobowo jak padający zza węgła cień niewidzianego przedmiotu.

**Janusz Pelc**

*) Aleksander Jackiewicz: „Penicylina" W-wa 1951 P.I.W.

EDMUND KŁOCZEWSKI

# O właściwą rolę inwestycji w rolnictwie

Polska Rzeczypospolita Ludowa przeznacza ogromne kwoty na inwestycje w rolnictwie, a zwłaszcza w PGR. Tempo procesów inwestycyjnych począwszy od roku 1949 stale wzrasta, a jednocześnie w charakterze inwestycji zachodzą istotne przeobrażenia. Jeśli bowiem w pierwszych latach powojennych nakłady w rolnictwie szły nade wszystko na likwidowanie ran i szkód zadanych gospodarstwom przez wojnę, to obecnie — zwłaszcza w tych rejonach, gdzie zniszczeń wojennych było mniej, nakłady inwestycyjne mają za cel stałą intensyfikację i mechanizację produkcji, słowem, rzeźbić zaczynają oblicze rolnictwa na nową socjalistyczną modłę. Oczywiście, zadanie takie nie jest bynajmniej łatwe, jeśli zważy się skomplikowany splot zagadnień ekonomiczno-przyrodniczych, które w każdym gospodarstwie z osobna rozwiązać należy, chcąc mu wytknąć najwłaściwszy kierunek rozwojowy i ściśle z nim związany plan inwestycji. Oczywiście planowanie musi być jak najbardziej oddolne i nie gdzieindziej jak tu na dole winna nastąpić racjonalna synteza realnych możliwości i potrzeb gospodarstwa z wytycznymi kierunkowymi Państwa. Nie można jednak zamykać oczu na pewne niebezpieczeństwa związane z konstruowaniem planu inwestycji oddolnie, bo właśnie na tym odcinku niezmiernie jest łatwo ulec wpływom lokalnych zwyczajów lub indywidualnych zamiłowań nie zawsze zgodnych z interesem publicznym. Historia inwestycji dokonywanych dawniej w przodującej na odcinku rolnictwa Wielkopolsce daje nam sporo materiału tego rodzaju niebezpieczeństwa.

W latach między wojną francusko-niemiecką 1870 roku a pierwszą wojną światową — rolnictwo w b. zaborze pruskim znalazło się w koniunkturze szczególnie pomyślnej do intensyfikacji produkcji oraz do wzniesienia okazałych budowli gospodarskich i urządzeń melioracyjnych. Z tego okresu datuje się osiągnięcie przez wieś wielkopolską poziomu zachodnio - europejskiego w odróżnieniu od pozostałych dzielnic Polski. Dzięki wysokim cenom za płody rolne oraz tanim kredytom bankowym duże nakłady na budownictwo wytrzymywały, jak to się mówi, rachunek ,choć i w owych czasach zdarzały się wypadki, że bez ołówka zaprojektowane inwestycje doprowadzały poszczególnych właścicieli gospodarki rolnych do bankructwa. Niebezpieczeństwo zbyt pochopnie przedsięwziętych inwestycji wyszło w pełni na jaw dopiero w okresie częstych kryzysów gospodarczych, które paraliżowały życie i produkcję w czasie od 1918 do 1939 roku.

Każda budowla czy urządzenie wymaga poważnych środków pieniężnych na konserwację, większe i mniejsze remonty, wreszcie na raty amortyzacyjne. Z chwilą, gdy dochód gospodarstwa nie odpowiada swą wysokością kosztom utrzymania kapitału budowlanego, rodzić się muszą w gospodarce prywatnej trudności pieniężne i krachy.

Dotkliwsze z pewnością były i dotąd są skutki owczego pędu w kierunku drenowania wszystkich niżej położonych gleb w Wielkopolsce przed rokiem 1914. Ulegając wpływom chwilowej dobrej koniunktury na zboże i okopowe oraz namowom licznych prywatnych biur melioracyjnych, folwarki i wsie wielkopolskie drenowały nie tylko wilgotniejsze pola orne, ale też pastwiska i łąki, zamieniając je na ziemie orne. Skutkiem tego wystąpiło poważne obniżenie poziomu wód gruntowych w Wielkopolsce i przy dość słabym na lżejszych ziemiach podsiąkaniu wody wzwyż ku glebie ornej — spotęgowała się wrażliwość planów na dłuższe i krótsze posuchy. Z drugiej strony utrudniona została rozbudowa należytej bazy paszowej na wilgotniejszych częściach terenu przez zakładanie tam płodozmianów polowo-łąkowo - pastwiskowych, a w konsekwencji tego trzeba obecnie nieraz droższymi sposobami zdobywać paszę dla szybko wzrastającego pogłowia zwierząt.

Gdyby państwo ludowe oddało bez żadnych zastrzeżeń w ręce terenu: kierowników gospodarstw i załóg robotniczych PGR ster w dowolnym projektowaniu inwestycji, niewątpliwie podobne błędy, jak z okresu kapitalizmu ujawniłyby się w dość szerokim zasięgu, jeśli zważyć, że w pojęciu wielu osób pieniądze państwowe czerpać można dowolnie bez obawy ich wyczerpania. Rzecz jasna, że nierentowne inwestycje nie spowodują bankructwa państwa, opóźnić jednak mogłoby procesy reprodukcji socjalistycznej, hamować postęp i mechanizację przez skierowanie uwagi z rzeczy dla państwa pierwszoplanowych na trzecio-lub czwartoplanowe.we.

Rzeczą zupełnie zrozumiałą jest w tych warunkach zastosowanie przez państwo pewnych hamulców i ograniczenia nadmiernych zapędów inwestycyjnych — poprzez precyzowanie bardzo ścisłych zadań rzeczowych i surowo przestrzeganą stabilizację planu inwestycyjnego. Ta sztywność form, którą teraz niesłusznie chrzci się czasem mianem biurokracji, jest, jak wynika z groźnych skutków złych inwestycji, konieczna. Sztywność tę zresztą zarówno w planowaniu terenowym jak i w centralnym — łagodzą słusznie obmyślane oddolne plany inwestycji po ich należytym zanalizowaniu i zatwierdzeniu.

Jak teren winien planować inwestycje, aby być w zgodzie z prawami ekonomii i wytycznymi państwa?

W gospodarce socjalistycznej zasady planowania inwestycji skrystalizowane są jasno. Zgodnie z nimi należy:

a) rozważać wszechstronne skutki i zazębienia, jakie spowoduje każdy nakład inwestycyjny. Najprostszy przykład: nie stawiać obory tam, gdzie baza pastewna nie jest i nie może być należycie rozbudowana;

b) projektować wyłącznie takie inwestycje, których potrzeba wynika nieodparcie z planów gospodarczych rocznych i wieloletnich. Należy przy tym wyczerpać wszystkie środki w ramach planu do zapewnienia jego wykonania i dopiero po stwierdzeniu konkretnych trudności w postaci „wąskich gardeł" uciekać się do pomocy inwestycji. Radykalnie więc wyrzec się należy postawy wyczekiwania na deszcz róż inwestycyjnych, który by dźwignął nasze warsztaty, lecz w pierwszym rzędzie liczyć na własne siły i środki;

c) umiejętnie znajdować złoty środek między prawem koncentracji nakładów inwestycyjnych na zagadnienia centralne np. mechanizację rolnictwa a prawem szerokiej rejonizacji nakładów mającej na celu ożywienie gospodarcze wszystkich najdalszych i „zabitych deskami kątów", z których każdy na swój właściwy mu sposób winien być wciągany do pełnej służby społeczeństwu;

d) jak najdalej idąca oszczędność przy planowaniu projektów technicznych inwestycji i przy ich realizacji. Zwierzęta domowe np. nie wymagają bynajmniej pałaców i luksusów budowlanych, wystarczy im możliwie tanim sposobem zapewnić pomieszczenia suche, ciepłe, widne, dużo powietrza i ruchu;

e) każda inwestycja musi być rentowna tj. w możliwie krótkim czasie nakład pieniężny winien być zwrócony państwu w postaci zwiększonej produkcji;

f) wreszcie każda inwestycja winna bezwzględnie uruchamiać jakąś rezerwę, tę czy inną możliwość szybkiego wzrostu produkcji i na ten remont radziłbym zwrócić uwagę najbaczniejszą, zwłaszcza obecnie w dobie wysiłków, mających na celu przyśpieszenie rozwoju rolnictwa.

Przykładem, w jaki sposób przy pomocy drobnych stosunkowo inwestycji można niesłychanie silnie zwiększyć produkcję globalną i towarową, jeśli jednocześnie przeorganizowywać i doskonalić własnymi środkami bieg gospodarstwa — są dane odnoszące się do sowchozu „Lesnyje Polany", założonego jeszcze w r. 1922 pod Moskwą, jako obiekt doświadczalny, którym żywo interesował się sam Lenin.

Kołchoz ten, od początku specjalizowany w kierunku produkcji mleka, tuczników i warzyw dla stolicy, osiągnął już przed wojną wspaniały rozkwit, jednakże podczas wojny został kompletnie zdewastowany. W latach 1946 do 1950 nastąpiła tak wspaniała odbudowa i rozbudowa „Leśnych polan" przy użyciu stosunkowo drobnych środków inwestycyjnych, że warto się z nią bliżej zapoznać.

Wybudowano w „Leśnych Polanach" w tym czasie: 1) chlewnię macior, 2) cielętnik, 3) niedużą stajnię, 4) spichrz, 5) szopę. Licząc wg naszych aktualnych kosztorysów wydano na te budynki nie więcej niż 1 milion złotych, a że koszt ich stanowił 43 proc. nakładów inwestycyjnych lat 1946-50, więc cały limit tych lat przyjąć możemy w przybliżeniu na 2,3 miliona zł., co na kilkaset hektarowy i zniszczony obiekt jest oczywiście b. mało. Poza budownictwem z limitu inwestycyjnego zużyto na mechanizację 16 proc. czyli ok. 370 tys. zł., na zakup zwierząt elitarnych 37 proc. czyli 850 tys. zł., wreszcie na melioracje 4 proc. czyli 92 tys. zł.

A teraz wyniki produkcyjne. Osiągnięte w roku 1950 przy 1946 = 100%:

| | |
|---|---|
| Ogółem | 165,6 |
| mleko | 140 |
| trzoda | 500 |
| ziemniaki i warzywa | 102 |
| owoce | 260 |
| pasieka | 270 |

Na 1 robotnika wskaźniki produkcyjne:

| | 1940 | 1950 |
|---|---|---|
| mleko | 37 | 43 |
| mięso (żywiec) | 73 | 162 |
| siano | 17,8 | 43,5 |
| zielonki | 91 | 106 |

Wartość produkcji wzrosła od roku 1932 do 1940 o 25 proc., w 5-cioleciu 1946—50, jak widzimy, blisko 3-krotnie szybciej, bo o 65,6 proc. Przy tym towarowość w poszczególnych gałęziach dochodziła do 91 proc. produkcji.

Osiągnięciom tym towarzyszyło zwiększenie mechanizacji robót: na 1 pracownika ilość energii elektr. i w silnikach spalinowych wzrosła o 70 proc., połowa robót polowych wykonywana jest przy napędzie elektrycznym. Pogłowie zwierząt wyniosło w roku 1946— 74 na 100 ha użytków rolnych, a 83 w r. 1950, analogiczne cyfry sztuk efektywnie produkcyjnych 63 i 79. Produkcja obornika w r. 1946 — 4270 ton, w r. 1950 — 5568 ton. Produkcja pasz (głównie siana) wzrosła od 1946 do 1950 o 70 proc.

Jest rzeczą jasną, że wszystkie powyższe zdumiewające osiągnięcia nie są wynikiem tylko inwestycji. Przeobrażenia wewnętrzne gospodarstwa w „Leśnych Polanach" dokonało się przez uruchomienie ukrytych rezerw rolniczych i hodowlanych. Na czele tych przeobrażeń stoi wprowadzenie w latach 1946-8 systemu trawopolnego w całej jego rozciągłości i z zachowaniem najnowszych wskazówek agrotechniki.

I oto w oparciu o uprawę mieszanek koniczyn z trawami w płodozmianach polowych i pastewnych produkcja pasz wzrasta od r. 1946 do 1950 o 70 proc, a jednocześnie obszar obsiany wszystkimi roślinami pastewnymi kurczy się o około 5 proc. Dla rolnika i organizatora gospodarstwa jest jasne, że tu właśnie leży „gwóźdź" powodzenia sowchozu „Lesnyje Polany". Dobór właściwych płodozmianów, lepsza agrotechnika, uprawa najwłaściwszych na terenie roślin — silny wzrost nawożenia — oto tajemnica efektów produkcji i towarowości w zakresie odstaw mleka i żywca, obok naturalnie prac hodowlanych i inwestycji zmierzających do poprawy jakościowej pogłowia.

A drugi efekt godny zazdrości — to postępy mechanizacji przy nikłych nakładach inwestycyjnych na zakup inwentarza martwego. Jaka dbałość musiała tam być o sprzęt posiadany, jak sprawnie działały warsztaty naprawcze, ile urządzeń mechanizacyjnych musiano tam sporządzić we własnym zakresie i jak umiejętnie musieli eksploatować robotnicy każdą maszynę — wszystko to jasno czytać można między wierszami suchych zestawień.

W wielu naszych PGR-ach i spółdzielniach produkcyjnych środki inwestycyjne na 100 ha były w latach 1946-50 na pewno wyższe niż w „Leśnych Polanach", a efekty produkcyjne o wiele skromniejsze. Przyczyną tego jest brak odpowiednich płodozmianów, chaotyczność zasiewów, walanie się tu i ówdzie nie poreperowanych ciągników i maszyn w pokrzywach, nie współmiernie niska do wzrostu pogłowia zwierząt rozbudowa bazy paszowej. Dopóki te rzeczy nie zostaną naprawione i dopóki wszystkie brygady polowe i hodowlane nie wygrają decydującej walki o wyższe efekty produkcyjne dotąd limity na inwestycje w pełni racjonalnie wykorzystane być nie mogą.

Uruchomienie rezerw produkcyjnych we własnym zakresie, a dopiero na kanwie tego inwestycje, oto co winno się stać wytyczną przy planowaniu inwestycji w latach najbliższych. Warto o tym pamiętać w obecnym okresie wiosennym wstępnego projektu Planu Inwestycyjnego na rok 1953.

**Edmund Kłoczewski**

CZESŁAW JURKOWSKI

# Powiat zamojski uruchamia rezerwy rolnicze

Foto CAF

W naszym powiecie nastąpił już poważny przełom w uprawach polowych. Intensywne nawożenie, mechaniczna uprawa roli, siew rzędowy, stosowanie nawozów sztucznych, energiczna walka z chwastami itp. ogromnie w porównaniu sprzed wojną zwiększyły plony z hektara.

O wiele gorzej było do niedawna z łąkami; zaniedbanie łąk i pastwisk wlokło się za nami jeszcze z czasów przedwojennych, kiedy to w całym powiecie zamojskim było zaledwie 80 ha ornych i w całości zagospodarowanych łąk.

W Polsce Ludowej przystąpiliśmy energicznie do tej sprawy. Z 4900 ha łąk w dolinie rzeki Łabunki i jej dopływu Topolnicy zmeliorowano 4300 ha (z tego zaopatrzono w urządzenia nawadniające — 4 śluzy i 60 michów — 3200 ha, a zagospodarowano w całości — 3000 ha).

Z 1000 ha łąk w dolinie Czarnego Potoku zmeliorowano i zaopatrzono w urządzenia nawadniające 600 ha, zagospodarowano 300 ha.

Z 500 ha łąk w dolinie Farensu zmeliorowano wszystko, zagospodarowano w całości dopiero 350 ha.

Dzięki temu i zbiory siana ogromnie wzrosły. W roku 1951, gdy w całej niemal Polsce zbiory siana wypadły nieszczególnie, u nas było zupełnie inaczej. Tak np. we wsi Łabunki, gm. Łabunie ob. Pawliszak Stanisław posiadający 4,5 ha (w tym I ha łąki) zebrał w trzech pokosach — 110 q. Ob. Prokop Stanisław (5 ha w tym 0.8 ha łąki) — 66 q, ob. Krukowski ze wsi Jatutów (6 ha w tym 1,2 ha łąki) — 120 q, ob. Sałach Wojciech ze wsi Lipsko, gm. Mokre (2.90 ha w tym 0.5 ha łąki) — 55 q itd. A przed zmeliorowaniem i zagospodarowaniem łąki tych gospodarzy dawały zaledwie od 15 do 20 q lichego siana z ha.

Doskonały interes zrobiło 90 mało i średniorolnych chłopów ze wsi Barchaczów. Założyli bowiem na jesieni 1950 r. w ramach akcji likwidacji odłogów zespół uprawowy i wspólnym wysiłkiem przy pomocy POM-u, który im wypożyczył traktor „Staliniec" z pługiem łąkowym zaorali, nawieźli i obsieli trawami szlachetnymi — 40 ha odłogów w swej gminie. W roku 1951 zebrali z tego obszaru 1600 q siana, co im umożliwiło podwojenie ilości krów, dla których nie brak im dziś paszy.

Prace melioracyjne w pow. zamojskim wspiera państwo ludowe, dostarczając bezpłatnie nasion, i udzielając kredytów na zakup nawozów sztucznych.

Dzięki tej akcji podniosła się znacznie dochodowość drobnych i średnich gospodarstw chłopskich. Bo mimo, że powiat nasz ma jeszcze o 10.5 tysiąca krów mniej niż przed wojną, ogromnie wzrosła w porównaniu sprzed wojną i globalna i towarowa produkcja mleka w naszym powiecie.

**Towarowa produkcja mleka w pow. zamojskim**

| Ilość w tys. lit. | | Wart. w zł. bież. |
|---|---|---|
| 1937 | 3195 | 318.000 |
| 1938 | 3996 | 393.000 |
| 1948 | 1255 | 807.000 |
| 1949 | 2217 | 1.500.000 |
| 1950 | 3153 | 2.492.000 |
| 1951 | 4887 | 4.142.000 |

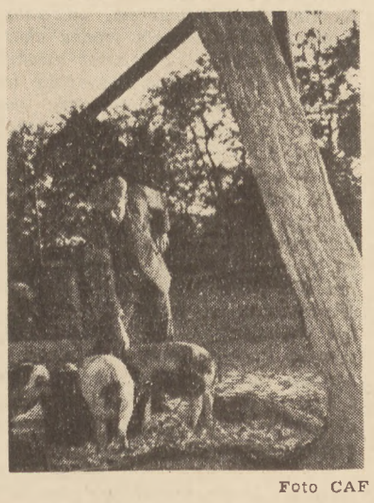

Foto CAF

Ale nie poprzestaniemy na tym. Chcemy do końca Planu 6-letniego podnieść towarową produkcję mleka w naszym powiecie do 12.125 tys. litrów, to jest trzykrotnie w por. z r. 1951, a blisko czterokrotnie w por. sprzed wojną a globalną produkcję mleka do blisko 27 mil. litrów.

Nasz plan jest zupełnie realny, a opiera się: a) o melioracje 1250 ha (z czego 300 już zmeliorowanych,

Foto CAF

ale — bez urządzeń nawadniających) w dolinie rzeki Gorajki oraz 950 ha w dolinie rzeki Por (w trakcie melioracji) — na obszarze gmin: Szczebrzeszyn, Zwierzyniec, Sułów, Radecznica; b) o melioracje 2000 ha (z czego 150 ha już zmeliorowanych) w dolinie górnego Wieprza w gminach Krasnybród i Suchowola; c) o zagospodarowanie w całość przez podsiewanie i nawożenie łąk poprzednio już zmeliorowanych.

Mało i średniorolni chłopi widząc jakie korzyści odnosi państwo i oni sami z akcji melioracyjnej masowo korzystają z kredytów państwowych na ten cel i nie szczędzą pracy, aby uporządkować wszystkie łąki i pastwiska na terenie powiatu. O postawie chłopów pracujących naszego powiatu wymownie świadczy fakt, że w kapryśnym i mroźnym miesiącu marcu rb. przyszli ochotniczo z wielką pomocą państwowej służbie wodnej przy wyrąbywaniu lodu z michów i ochronie przed zniszczeniem urządzeń nawadniających.

Co możliwe jest u nas, to na pewna możliwe jest i w innych powiatach i jesteśmy pewni, że wiele powiatów pójdzie za naszym przykładem.

**Czesław Jurkowski**

*Z prasy radzieckiej*

# *O satyrze radzieckiej*

*Wśród utworów, objętych ostatnio Nagrodami Stalinowskimi, brak satyry. Zwraca na to uwagę krytyka radziecka. „Prawda" i „Litieraturnaja Gazieta" słusznie biją na alarm i nawołują pisarzy zarówno do wydajniejszego zajęcia się gatunkiem satyry, jak i do podniesienia jakości już istniejących osiągnięć.*

*Satyra — to bojowy oręż w walce proletariatu. Posługiwali się nim klasycy marksizmu, stosowała go z powodzeniem literatura radziecka ostatnich lat. Czy obecnie gatunek satyry zamiera? Czy satyra nie widzi obiektów i postaci godnych swej uwagi? Tak nie jest; jednakże daje się zauważyć zwężenie zakresu tematyki i spadek jakości obecnej satyry w porównaniu z dużymi dotychczasowymi osiągnięciami. Krytyka zdwaja czujność i podejmuje dyskusje, które niewątpliwie pomogą satyrykom w dalszych sukcesach i podniosą jeszcze bardziej wartość artystyczną tego gatunku literackiego.*

*Pierwsze aktualne zagadnienie, to kierunek uderzenia. Jaki charakter powinien znamionować satyrę radziecką w odróżnieniu od satyry burżuazyjnej?*

*Będąc częścią literatury radzieckiej, służącej sprawie proletariatu, satyra radziecka realizuje te same bojowe cele: walczy ze światem imperializmu, z przeżytkami przeszłości kapitalistycznej w świadomości obywateli ZSRR. Ale na każdym etapie historycznym ta zasadnicza linia generalna nasyca się cechami szczególnymi, konkretnymi, ściśle odpowiadającymi aktualnym zadaniom politycznym. Gdy pisarze świata imperializmu służą kultowi rozrywki, odciągając masy od poznania rzeczywistości, łudząc je nierzeczywistym śmiechem i wymyślonymi sytuacjami, satyra radziecka jest satyrą walczącą, wychowawczą, uderza z pozycji klasy robotniczej. Z tego wywodzi się jej realizm, charakter klasowy i humanistyczny. Satyra ta walczy o człowieka, chce go widzieć innym, lepszym.*

*Taka walcząca humanistyczna, rewalucyjna i klasowa satyra ma za sobą olbrzymie zaplecze. Posiada oparcie i w dziełach klasyków marksizmu i w utworach znakomitych pisarzy rosyjskich. W walce z przeciwnikami politycznymi satyrą posługiwali się: Marks, Engels, Lenin i Stalin. Marks pisał: „Ostatnią fazę historycznej formacji stanowi komedia. Bogowie Grecji, którzy już raz otrzymali tragicznie śmiertelne rany w „Prometeuszu skowanym" Ajschylosa, musieli powtórnie umierać komicznie w „Rozmowach" Lukiana. Dlaczego w ten właśnie sposób odbywa się rozwój historii? Żeby ludzkość rozstawała się ze swoją przeszłością ze śmiechem".*

*W świetle tych słów Marksa satyra staje się narzędziem burzenia starego świata. Rezygnuje z wyłącznej rozrywki. Dopomaga powstawaniu nowego, lepszego. Hercen pisał: „Śmiech, to jedna z najsilniejszych broni przeciw wszystkiemu, co się przeżyło, ale jeszcze utrzymuje się przy życiu nie wiadomo dlaczego; trwa, jako znakomita ruina, przeszkadza świeżemu życiu rosnąć a słabych ludzi straszy". Wielcy satyrycy rosyjscy: Gogol, Sałtykow - Szczedrin, Czechow czerpali podnietę do swej twórczości z miłości ludu i z nienawiści do istniejącego podówczas ustroju. Żyli i pisali w okresie najstraszniejszej reakcji. Ale miłość człowieka i wiara w przyszłość opromieniały satyryczne stronice ich dzieł. Tych wielkich pisarzy wiódł do walki pozytywny ideał, o którym tak celnie wyraził się Sałtykow - Szczedrin: „Żeby satyra była rzeczywiście satyrą i osiągała swój cel, trzeba, po pierwsze, żeby czytelnik wyczuwał ideę, kierującą autorem, a po drugie, sama satyra musi zupełnie jasno uświadamiać sobie cel, przeciw któremu kieruje ostrze".*

*Z praktyki i teoretycznych wypowiedzi tak klasyków marksizmu, jak i wielkich pisarzy rosyjskich wynikają także współczesne zadania satyry radzieckiej. Te zadania i założenia dałyby się sprowadzić do następujących stwierdzeń: satyra radziecka musi być w każdym wypadku głęboko polityczna i bojowa, musi oceniać fakty ze stanowiska klasy robotniczej, musi jasno rozeznawać adresata, posiadając swój pozytywny ideał.*

*Drugie aktualne zagadnienie—węższe, to miejsce satyry, jako gatunku w obrębie literatury. „Nowyj Mir" piórem znanego prozaika Borysa Gorbatowa, protestuje przeciw wyodrębnianiu satyry, przeciw kanonizacji tego gatunku literackiego, jako czegoś bardzo specyficznego. Po pierwsze — pisze Gorbatow — „humor i satyra właściwe są całej naszej wielkiej literaturze radzieckiej, co więcej — nie dadzą się od niej oddzielić". Zdaniem Gorbatowa satyra stanowi organiczną cechę każdego dobrego dzieła. Dla udowodnienia tej tezy Gorbatow powołuje się na doświadczenia i osiągnięcia Gorkiego, Majakowskiego, Szołochowa, Twardowskiego, Panowej, Michałkowa, Sofronowa, Marszaka i Isakowskiego. W dziełach wymienionych pisarzy nurt satyryczny ożywia całość utworu, jako jego część składową. „Umyślnie — pisze Gorbatow — przytoczyłem utwory z różnych zakresów literatury — poezję, prozę, dramat, pieśń, literaturę dla dzieci, — żeby pokazać iż nie można wyrywać z literatury „wyłącznie satyry", że nie można wyosobnić jej z ogólnego rozwoju radzieckiego piśmiennictwa".*

*Po drugie — zdaniem Gorbatowa — drogi rozwoju literatury radzieckiej świadczą wymownie o tym, że tylko te dzieła, które „kształtowały się zgodnie z ogólnymi prawami naszej literatury — ściśle mówiąc na drodze realizmu socjalistycznego — tylko te osiągały zwycięstwo, święciły triumf, cieszyły się uznaniem narodu i długim życiem". Do satyry, pozostającej w sprzeczności ze scharakteryzowanymi powyżej założeniami, „Nowyj Mir" zalicza humoreski Zoszczenki, pierwszy okres pisarstwa Ilfa i Pietrowa, humorystyczne opowiadania Ryklina, Ardowa, częściowo Lencza.*

Rys. S. Ar — („Smiena")
Zdław wojnę w zarodku!

*Przejście od socjalizmu do epoki komunizmu nakłada na satyrę większe obowiązki. Zmieniły się czasy, zmienili się ludzie. Nie obniżając poziomu politycznego literatury, należy wysoko podnieść jej jakość, żeby sprostać zadaniom chwili, potrzebom wykształconego już smaku radzieckiego obywatela. „Podobnie jak od poezji i prozy — pisze „Nowyj Mir" — również i od satyry żądamy bolszewickiej partyjności i wysokiego stopnia artyzmu. Wymagamy od satyry tego samego czego żądamy i od każdego innego rodzaju literackiego: wierności prawdzie życiowej, płomiennego patriotyzmu i prawdziwej ludowości".*

*Krytyka radziecka rozprawia się z błędnym mniemaniem, powstrzymującym rozwój satyry, jakoby w ZSRR nie było miejsca na śmiech szyderczy, bo nie ma z kogo się śmiać: wszyscy są bohaterami heroicznej epoki. Taki pogląd jest szkodliwy, nie odpowiada prawdzie. Warto przypomnieć postanowienie CK WKP(b) w sprawie pisma „Krokodyl", żądające ubojowienia satyry w zakresie stosunków wewnętrznych: „Podstawowym zadaniem pisma — czytamy w tym postanowieniu — jest walka z przeżytkami kapitalizmu w świadomości ludzi". Antyimperialistyczna satyra radziecka ma już określoną wysoką markę. Ale byłoby błędem grupować siły uderzania w kierunku jedynie zewnętrznym, byłoby błędem zaniedbywać satyrę o tematyce krajowej. „Czyż to prawda, że w kołach naszego radzieckiego społeczeństwa nie ma więcej tematów dla satyryka?— zapytuje krytyka radziecka („Nowyj Mir"). Czy to prawda, że tutaj nie ma już z kim walczyć? Tylko same uśmiechy i róże? Oczywiście, jeśli satyryk będzie się obracał ciągle w tym samym zaczarowanym kole znajomych postaci, to oręż satyryczny ulegnie rychło stępieniu. Ala właśnie partia wzywa naszych pisarzy, aby ostrzem satyry godzili w „marnotrawców społecznego dobra, drapieżców i chytrusów, biurokratów, ludzi zarozumiałych, wygodnickich i banalnych".*

*Ale satyra taka powstała w warunkach społeczeństwa bezklasowego musi być odmienną od swych poprzedniczek, musi być optymistyczna i twórcza. „Biczując braki — pisze „Nowyj Mir" — wiemy jednocześnie, że są one do usunięcia. Gromiąc przeżytki kapitalizmu w ludzkiej świadomości, wiemy jednocześnie, że są to tylko przeżytki, niedobitki dnia wczorajszego, a nie wrogie siły jutra. Wierzymy w siłę naszej prawdy i w siłę tego, co drukujemy. Na tej drodze zjawił się w naszej satyrze zgoła nieznany w przeszłości rodzaj: „felieton pozytywny". Na tej drodze rodzą się satyra oraz humor, które biczują, ale zarazem utwierdzają naszą prawdę, nasz obraz życia, nasze ideały. Satyra ta pozostaje w ostrej walce z kapitalistycznym fałszem, z „amerykańskim stylem życia", z obcymi, wrogimi człowiekowi „ideałami" gangsteryzmu". Gatunek „pozytywnego felietonu" — zyskał już prawo obywatelstwa w satyrze i cieszy się wielką poczytnością na łamach politycznych pism codziennych, szczególnie „Prawdy".*

*Krytyka radziecka podkreśla osiągnięcia dotychczasowej satyry, wymieniając nazwiska: Zasławskiego (felietony polityczne), Erenburga, Biezymieńskiego,W. Katajewa, S. Michałkowa, S. Marszaka, Riabowa (felieton dziennikarski), S. Wasiljewa, S. Smirnowa, C. Szwecowa, D Bielajewa, Słobodskoja oraz Dychawicznego i wielu innych. Ale stwierdza jednocześnie częste zjawisko nienadążania za życiem, wygodnictwa i braku pełnej, bojowej ofensywności. „Trzeba, żeby nasi satyrycy wyszli z gabinetów literackich" — woła Gorbatow.*

*„Bardziej nawet niż nasi inni pisarze, — konkluduje prasa radziecka — radzieccy satyrycy i humoryści powinni rozumieć świat i czuć się bojownikami politycznymi, działaczami społecznymi, żołnierzami najbardziej ideowej i najbardziej ludowej prasy na świecie — prasy bolszewickiej".*

**Grzegorz Timofiejew**

# Gazetka gminna

## O miłości

W powiecie kutnowskim wioska mała, w niej dwie sąsiedzkie rodziny, a tematem — miłość. W jednym domu średniaki — ojciec, matka i syn. W drugim — małorolni. Babka, trzech wnuków i wnuczka. Do wnuczki „chodzi" syn średniaka od pięciu lat. Kiedy zaczął chodzić miała 15, on — 19. Przedwiośnie minęło. Chcieli się pobrać, czy się jednak pobiorą? Kochają się, zaręczam a dramat narósł. Chłopak domowe pędził życie, zakopany z rodzicami w gospodarstwie, z tej też przyczyny poprzestał na 4-ch tylko klasach. A wnuczka małorolnej? Od jedenastego roku bez ojca i matki borykała się z życiem. Stara babka, jeden tylko brat starszy, dwaj inni dużo młodsi. Dziewczyna mimo to, skończyła gimnazjum handlowe. Dotąd i Wam i mnie jeszcze się wnuczka podoba. Ale dalej? Co powiecie o jej pomyśle — zostaw rodziców, wyjedźmy gdzieś do miasta? Chłopak się zgodził i wrócił- jak zwykle do domu średniaków, zakopanych w gospodarstwie. A tam — przecież **spadkobierca**, opuścisz to nas i ziemi taki kawał? Masz 4 oddziały, ona — gimnazjum. Szkół ci brak, zawodu nie masz, kim tam będziesz przy niej we świecie. A tu — ona uczona w gospodarstwie nie będzie robić i... goła jak mysz.

Czy takiej polityki wnuczka nie mogła przewidzieć? Dlaczego nie brała pod uwagę jego 4-ch klas i zakopania w gospodarstwie? Dlaczego po handlówce wróciła do babki i braci, aby im warzyć strawę i obrządzać inwentarz? Dlaczego przekreśliła szkołę? Jej miejsce było w GS-ie, albo w filii, w SOM-ie, w GRN-ie, w pobliskim PGR-ze. Goła, jak mysz, ale w pracy buchalterki zaczęłaby znaczyć dla tych średniaków. Cóż uczyniła, aby zaczęli się wahać w jej stronę? Cóż uczyniła, żeby chłopaka oświecić, aby w sukcesję po starych nie patrzył, jak w pępek świata. Dlaczego on jeszcze nie widzi przemian, jakie już dzieją się i spełnią? Nauczył się od starych rachować dziesięć razy to samo dla pewności. Niech porachuje, w jakiej to wsi przyjdzie mu przeżyć większą część życia? Dziewczyna wróciła na wieś, jako nasza, nowa inteligentka. Wróciła z buchalterią, sztuką liczenia na wsi po nowemu, liczenia w księdze, która pomieści może rozchód i dochód **całej** gromady.

O, ślepa wnuczko! Gdybyś przyniosła z handlówki dynamit, gdybyś zorganizowała koło ZMP, gdybyś chociaż stanęła do pracy na wsi, jaką wyznaczyła ci szkoła...

Ale nie tylko ciebie oskarżam. Co robią „głowacze" gromady? Dlaczego drzemie GRN, szkoła, a przede wszystkim organizacje polityczne? Wołacie o kadry, a kiedy wracają Wam do rodzinnej wsi, nie Wasz to interes?

**Jan Cichoń**

## Średniacka filozofia

Co pojął bardzo szybko średniak, Wojtal Władysław we wsi Grochowisko (pow. Żnin)? Skoro wyczytał, a czyta gazety pilnie, bo wie, że donoszą one wciąż o nowych korzyściach dla rolnika, skoro — powtarzam — wyczytał, że chłopom mało i średniorolnym przysługuje prawo pomocy ze strony POM-ów i SOM-ów, pojął swoim rozumem, że brak siły pociągowej **w dostatecznej ilości**, na jaki on cierpi, łatwo wyrówna mu POM.

Napisał więc do POM-u w Gałkówku prośbę o zaoranie mu 3 ha gruntu, położonego w jednym kawałku.

Otrzymał po 6 dniach odpowiedź tej treści: „...POM może udzielić pomocy, jeśli w gromadzie znajdzie się więcej chętnych gospodarzy. Najlepiej byłoby zorganizować zespół uprawowy na bieżące wiosenne siewy z usunięciem miedz, aby ułatwić pracę traktorom i najlepiej je wykorzystać".

Jak z kolei pojął średniak to oświadczenie? Tego już nie pojął. Albo, jeśli wolicie, udał, że nie pojął.

Po co mu szczegółowe prawo, kiedy szczegółowe wymaga, aby wyjść naprzód i coś zrobić dla osiągnięcia przysługującej pomocy i korzyści. Nasz średniak został przy ogólniejszym prawie. Ogólniejsze bowiem mówi po prostu o prawie korzystania z usług POM-ów i SOM-ów.

Ale średniak lubi gadać, musi gadać. No i wyszło szydło z worka. Wojtal filozofuje. „Jeśli nie ma więcej chętnych gospodarzy, czy mnie osobiście nie przysługuje żadna pomoc, czy przepisy faktycznie tak ten stan rzeczy określają?"

Innymi słowy, co mnie obchodzi sprawa zmówienia kilku gospodarzy, co mnie obchodzi sprawa organizacji pracy POM-u. A przecież polega ona na tym, że w ograniczonym czasie udziela pomocy wielu wsiom. Wyobraźmy sobie 20 wsi o dużych obszarach pod orkę traktorową i 20 następnych z jednym Wojtalem w każdej. Dokąd ruszą najpierw traktory? Tam gdzie czeka wielu chłopów, gdzie pomoc idzie dla wielu i wielu chroni przed stratą.

Ale Wojtala nic to nie obchodzi, niech zajeżdżają do mnie, bo chłopu przysługuje prawo!

Długi ma język Wojtal. Jeszcze filozofuje. „Więc ziemia moja będzie musiała leżeć ugorem, ponieważ brak mi własnej siły pociągowej a POM pomocy udzielić nie może".

A pomoc sąsiedzka ob. Wojtal? Wy jej nie chcecie widzieć, wy jej nie żądacie? Wy nie oskarżacie gromady i GRN-u o brak zorganizowania pomocy sąsiedzkiej (jeśli ją zaniedbano)? Wam tylko POM w głowie? Na waszej prywatnej służbie? Ta filozofia mówi nam, że nie żyjecie z gromadą, że lekceważycie sobie społeczną organizację pracy i pomocy, jaka już wyrosła na wsiach indywidualnie gospodarujących chłopów. Przez taką organizację mielibyście i POM, mielibyście pomoc sąsiedzką w orce wiosennej.

**Wojciech Pawelec**

## „Święta rodzina" kułaka

Czytałem ponury list. Ukazuje on kułactwo od strony „domowego ogniska" i „świętej rodziny". Wejrzyjcie w bogobojność poznańskiego kułaka.

W r. 1948, po sierpniowym plenum Partii żenił się syn kułaka Kmiecika (13 ha) we wsi Nosków - Kaplica, w powiecie jarocińskim. Żenił się z dziewczyną bez ziemi, która z pracy wniosła uciułane jedyne wiano — 100.000 zł. (w starej walucie).

Pamiętajcie, było to już po sierpniowym plenum, do domu wchodziła synowa — bezrolna. Mogła się taka rzecz wydarzyć? Mogła, bo ona się w rezultacie nie zdarzyła. Cóż z tego, że syn szarpnął się i postąpił według swej woli. Na miłość żadna arystokracja nie ma sposobu, ale na jej zrujnowanie — zawsze. Stare Kmieciki zajęły praktycznie klasowe stanowisko wobec dokonanego faktu. Oboje — synowa i syn od pierwszego dnia ślubu ustawieni zostali na pozycjach małżeństwa **parobków** w domu świętej rodziny kułackiej.

„Pracowaliśmy — pisze synowa — od pierwszego dnia jak najmity i gorzej nawet, bo za darmo a znęcaniom nie było końca. Starzy zamykali przed nami żywność, mnie przezywali czarnym diabłem, hamanem i złodziejem, męża — odszczepieńcem i wywrotowcem. A jaki on tam, cichy i zahukany. W jednym tylko nieustępliwy — mnie kocha i łapczywości w nim na ziemię żadnej. Ale cośmy przeżyli, ja musiałam nawet w ciąży do ostatniego dnia ciężko pracować. A gdy się urodził nasz synek, tośmy go musieli owinąć w pożyczone pieluszki, bo nie mieliśmy za co kupić, cała kasa gospodarstwa w rękach teścia. Już na niemowlę rzuciła teściowa przekleństwo: dziecko bandytów.

A z własnym synem co zrobili? Na wywózkę z lasu gnali go w zimie, aby nachapać jak najwięcej grosza i zaziębił się mój mąż, dostał suchot. Na leczenie starzy nie dawali. Doszło teraz do tego, że jednego dnia stary rzucił na stół 1.000 zł. i kazał iść precz. Już się zemścił na synu, wpędził go w chorobę, a teraz wyrzucił nas z domu wraz z dwojgiem dzieci (2 i pół roku i 8 miesięcy). Córkę sprowadził na gospodarstwo, będzie dziedziczką.

Ja się was pytam. Co mamy z mężem robić? My się na powrót do tej jaskini nie prosimy. Ale czy parobkom, którzy pracowali 4 lata, nie należy się zapłata za ten okres czasu? Czy pokrywka rodzinna może służyć aż dwa razy do wyzysku? Tak, byliśmy parobkami u kułaka, nie mamy więc prawa żądać wynagrodzenia, wyrzuceni z chorym mężem i małymi dziećmi?"

Gminna Rado Narodowa! Zajmijcie się sprawą Janiny Kmiecik i jej męża. Obnażcie „świętość" rodziny kułackiej.

**Jan Kurzołęka**

**Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wiejscy i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.**

## Jak pracuje Rada Gminna

Czytaliście artykuł korespondenta Cegielskiego z Rawy Mazowieckiej w „Rolniku Polskim" (Nr. 47)?

Na wstępie artykułu dowiadujemy się, że GRN w Żelechlinie zorganizowała sesję wyjazdową w gromadzie Bukowiec.

„W zagajeniu przewodniczący Kamiński bardzo pięknie zobrazował pracę w gminie Żelechlin".

Z tego „zobrazowania" dowiadujemy się, że była urządzona wycieczka do spółdzielni produkcyjnej, chłopi zapoznali się z wyższą gospodarką zespołową, co zaś dotyczy pracy Kół ZSCh na terenie gminy, stoi ona „bardzo dobrze", bo zarząd gminy ZSCh i Gminna Rada Narodowa „ściśle pracują z terenem". Kiedy tak świetnie wszystko idzie, nic dziwnego, że przewodniczący nie użył oręża samokrytyki i nie puścił ani pary z ust o brakach i niedociągnięciach.

Teraz dyskusja. „Zabrał głos ob. Oziębło. Za surowo przedstawił sprawę założenia spółdzielni w gromadzie Bukowiec". W rezultacie „ludność zaczęła się rozchodzić, bojąc się założenia spółdzielni".

Aha, kolego, Cegielski! Oopiero jednemu z gospodarzy „udało się zatrzymać" wychodzących ludzi. I to ma być dobra praca GRN. Ładna sesja. A dla was praca GRN „wzorowa".

— A co Wam się nie podoba?

„Że jedna z radnych była za mocno pomalowana w różowe kolory. Następnie jeden z radnych w czasie sesji mocno chrapał. Nie podobało się też, że Oziębło zbyt zawzięcie chce założyć spółdzielnię produkcyjną w gromadzie Bukowiec".

Co w rezultacie wynika z waszej korespondencji? Że chcecie wykazać osiągnięcia, pochwalić władze a boicie zaczepić się o krytykę.

A przecież w naszej pracy korespondenckiej, co dobre powinniśmy chwalić, co złe krytykować, ulepszać błędy i niedociągnięcia. Musimy nauczyć się wyciągać wnioski z każdego wypadku, z każdej sprawy. Korespondent, to żołnierz walki klasowej, powinien godnie trzymać ten tytuł, a w waszej korespondencji nie uwidocznia się to. I o to nam chodzi, kolego Cegielski!

**Tadeusz Tomkiewicz**

## Rozmowa dwóch książek

(Jest majowy poranek. Na ulicy, przed wystawą księgarni, stoi kiosk z książkami. Posłuchajmy rozmowy, jaką dwie książki prowadzą właśnie między sobą).

**„Pan Tadeusz"** (którego sprzedawca położył przed chwilą obok „Lalki") — Dzień dobry koleżance. Jak to miło znaleźć się na powietrzu...

**„Lalka"** — Oddycham tu z prawdziwą przyjemnością, zwłaszcza, kiedy pomyślę o zaduchu tych arystokratycznych salonów, które opisane są na mych stronicach. Zresztą tam, gdzie trafiałam przed kilkunastu laty — nie było też inaczej.

**„Pan Tadeusz"** — Aż ciężko wspominać te czasy. Pamiętam, jak kupił mnie przed wojną pewien dziedzic. „Mam nareszcie dobrą książkę dla ozdoby biurka"—powiedział do żony gdy wysiadł z bryczki przed dworem. Dziesięć lat przeleżałem z nierozciętymi kartkami, aż w końcu, kiedy stałem się siwy z kurzu, wrzucono mnie bezceremonialnie do pieca.

**„Lalka"** — Tak, tak — przykre to wspomnienia. Ja, kiedy przywożono mnie dawniej do księgarni, byłam już z góry przygotowana na to, że będę leżeć tam całymi miesiącami, przesuwana z kąta w kąt. Gdzież wtedy mogłam marzyć, aby wyjść między ludzi na ulicę. Zresztą, gdyby to nawet nastąpiło, musiałabym przemykać się wstydliwie pod murem, widząc jakim wzięciem cieszy się „Trędowata" czy „Kwiat jabłoni"...

(Do kiosku podchodzi w tej chwili uczennica. Książki milkną. Uczennica kupuje „Martę" Orzeszkowej).

**„Lalka"** (ciągnie po chwili dalej): Pewnego razu do księgarni, w której się znajdowałam, wszedł gruby jegomość z kozią bródką, jak dowiedziałam się później — fabrykant mydła. Zażądał powieści w kilku tomach — sprzedawca polecił mnie i w ten sposób trafiłam do domu fabrykanta. Nigdy kolega by nie odgadnął, w jakim celu zostałam kupiona. Posłużyłam mianowicie za podkładkę na krzesło dla syna fabrykanta, który był niskiego wzrostu i do stołu dostawał zaledwie nosem...

(„Lalka" milknie znowu. Przy kiosku staje siwy człowiek ze zgrubiałymi rękami).

**Stary robotnik do sprzedawcy:** — Chciałem kupić „Pana Tadeusza".

**Sprzedawca** — Proszę bardzo. Czy może coś poza tym?

**Stary robotnik:** — Owszem, ale to już drugim razem, bo teraz muszę kupić jeszcze coś dla wnuczki na imieniny. Za kilka dni przyjdę po „Lalkę" Bolesława Prusa, co to nazywał się właściwie Aleksander Głowacki.

(Sprzedawca pakuje książkę).

**„Pan Tadeusz"** (mówi szeptem do „Lalki") — A więc, koleżanko, do zobaczenia. Dokończymy naszą rozmowę, kiedy znów znajdziemy się obok siebie.

**Tadeusz Gicgier**

HENRYK JAKUBCZYK

## D i a l e k t y k a

*— Dzień dobry, Bogdalski! — rzekł życzliwie sekretarz. — A co was tu sprowadza?*

*— A to przyszedłem względem tego... Jak płaciłem fajerkasę, to powiedziałem tamtemu ich urzędnikowi, żeby przysyłali do opłaty synowi osobno i mnie osobno. Bo wciąż tylko na mnie przychodzi. Na co to? Przecie syn ma osobną gospodarkę.*

*— Osobną, osobną, ale nie przepisaliście rejentalnie.*

*— Nnie... Ale gospodarujemy każdy na swoim, panie sekretarzu.*

*— A ile macie razem hektarów? — spytał teraz sam przewodniczący Mazan.*

*— A... siedem...*

*— Razem macie siedem?*

*— Syn siedem i ja siedem, panie wójcie...*

*— Nie jestem wójtem, tylko przewodniczącym GRN. No, więc razem macie przecież czternaście.*

*— Ano tak, panie przewodniczący, ale... ziemia u nas licha.*

*Banaszczyk na pytające spojrzenie Mazana odpowiedział kiwnięciem głowy. Wydawał się zarazem ubawiony, jak i zaniepokojony badaniem Bogdalskiego, który rzucał mu szybkie spojrzenia.*

*— To za laskiem kalińskim, czy bliżej rzeki? — pytał dalej Mazan.*

*— Za laskiem i bliżej rzeki też...*

*— Koło mostku?*

*— A ino...*

*— Tam przecież w zeszłym roku cebula obrodziła u was jak złoto!*

*— Ii tam... Trochę udała się dymka, ale w ogóle... Licha ziemia.*

*— Bogdalskiego ziemia taka, jak u innych we wsi, słaba. Nie ma drugiej klasy ani kawałka — wtrącił Banaszczyk, jakby recytował sprawozdanie komisji, szacującej ziemię.*

*Mazan o tym wiedział. Jego twarz nie wyrażała jednak pretensji, że sekretarz przypomina mu elementarne wiadomości. Pomyślał chwilę i spytał.*

*— Podatki wpłaciliście?*

*— Kto, ja?*

*— Tak, wy.*

*—Prawie... A to chciałem jeszcze zapytać, czy w gminie mam załatwić ten podział. Niby ziemi. Dla mnie i dla syna.*

*Banaszczyk objaśnił płynnie.*

*— Trzeba złożyć w powiecie podanie. W wydziale rolnictwa i leśnictwa. Przedtem tu u nas, bo my musimy podpisać wniosek.*

*Mazan wzruszył ramionami, zanim jednak zdążył coś powiedzieć, Bogdalski rzekł spiesznie.*

*— A jeszcze... Chciałem spytać, bo... mówili, że tu jest u was w gminie jakaś taka... akcja czy inaczej, tak powiedzieć — socjalistyczna, czy jakoś? Bo to ja chciałbym dostać na siostrę zasiłek.*

*— A co jej jest? — spytał Mazan, poglądając na chłopa z nieukrywanym zdumieniem i zainteresowaniem, nie wróżącym nic dobrego.*

*— Bezrozumna i niemowa do tego. Nie ma żadnej pomocy, parobka też...*

*Mazan popatrzał pytająco na Banaszczyka. Ten pokiwał głową i rzekł:*

*— Siostra Bogdalskiego jest podobno niedorozwinięta, no i nie ma zębów, ani jednego. Mówią, że niemowa...*

*— ...i bezrozumna — dopowiedział Mazan. — To dokładnie tak samo, jak mówi Bogdalski. A może ona mało mówi, albo źle, no bo kiedy się nie ma wcale zębów?*

*Bogdalski kręcił się niespokojnie, Mazan zaś pytał dalej:*

*— A umie powiedzieć „kułak"?*

*Banaszczyk w lot zrozumiał, że Mazanowi nie chodzi o jakiś niewyszukany, prostacki dowcip. Spojrzał na Bogdalskiego, któremu zalatały oczka, ale nic nie zdradzało, żeby miał być zmieszany.*

*— Syczy tam coś i bełkoce. Wiadomo: niespełna rozumu... — rzekł łagodnie, jakby objaśniał nowinę zasmuconym krewnym.*

*— I co? Nic nie robi?*

*— Trzeba ją pilnować. Wtedy gotuje dla świń, sprząta, doi...*

*— A teraz? O, południe — Mazan sprawdził na swoim wysłużonym zegarku — to kto ją pilnuje przy dojeniu?*

*Chłop skrzywił się nieznacznie i rzekł bez namysłu.*

*— Synowa... — urwał, jakby żałując odpowiedzi.*

*— To mieszkacie razem, tak?*

*— No, chałupa duża, choć już i marna, ale mamy osobno gospodarstwo.*

*— A syn ma parobka?*

*— Mma...*

*— To jak były teraz siewy, to parobek siał tylko dla syna?!*

*— No, tak...*

*— A wam nikt nie pomagał, bo przecież nie macie żony?*

*— Syn trochę pomagał.*

*— To z was niezła rodzinka. Syn pomaga ojcu, jak przystało na porządnego syna, a synowi parobek. A gdyby syn nie miał parobka, to pewnie powiedziałby ojcu: „Tatulu, wynajmijcie kogo do służby!" Nieźle. A jak prowadzicie rozliczenie dochodów? I co płacicie synowi za pomoc? Może odrabiacie, co?*

*Bogdalski wybałuszył oczy i nic nie odpowiedział.*

*— A te czternaście hektarów, czy chociaż sprawiedliwie dzielicie do uprawy i do zbiorów? Czyj jest ten klin nad rzeką pod cebulę?*

*— Synowa tam sadziła i piele...*

*— Dla kogo?! — huknął Mazan, aż Banaszczyk podskoczył, całkowicie już teraz zaniepokojony, do czego to wszystko zmierza, przewodniczący zaś rąbał dalsze pytania: — Dla męża, dla was, czy może dla parobka?!! Bo chyba nie dla waszej bezrozumnej siostry?!*

*Bogdalski miał dość tej indagacji. Spoglądał bezradnie na Banaszczyka, który wściekał się, że mogło to oznaczać jakieś porozumienie między nim, a chłopem. Mazan tymczasem nie czekał na odpowiedź i pytał znowu:*

*— Ile macie koni?*

*— Trzy...*

*— Czyje? Czy chcecie podzielić po równo?*

*— Nnie... Jednego by się dokupiło...*

*— Za czyje pieniądze?*

*— Syna. Jemu się lepiej wiedzie... Ja już stary.*

*— A krów, ile macie?*

*— Cztery — wypalił chłop, nie ryzykując już liczby nieparzystej.*

*— Banaszczyk, sprawdźcie no u siebie — zwrócił się Mazan do sekretarza, usiłującego wynaleźć sobie zajęcie przy ostrzeniu ołówka.*

*— A świń?*

*— Świń? Jest parę sztuk...*

*— A ile tuczycie dla państwa?*

*— Dwie... Właśnie względem tego... — podchwycił Bogdalski żwawo i niemal radośnie. — A to mi jedna zdechła. Marnego dostałem z Samopomocy prosiaka... Kto mi teraz zwróci pieniądze i pracę? Przecież straciłem...*

*— A z czyjej winy zdechła?*

*— No, przecie nie z mojej. Takie liche sprzedawali.*

*Mazan parsknął śmiechem.*

*— A może to z was raczej lichy hodowca?! A komu jeszcze zdechły?*

*— Nie wiem, ale słyszałem, że zdechły komuś... tam...*

*— No, więc widzicie, Bogdalski — Mazan uśmiechając się podsumowywał, taki przynajmniej przybrał ton. — Coś u was nie w porządku. Macie lichą ziemię, ale cebula udaje się. Siostra bezrozumna i niemowa, ale coś tam robi i zdaje mi się tęgo pracuje, chociaż syczy i bełkoce, że ją gnacie do ciężkiej roboty. Gospodarstwo z synem prowadzicie osobno, ale mieszkacie razem i dzielicie się parobkiem, plonami i podatkami pewnie też. No, i te konie — trzy — chodzą sobie grzecznie po całym gospodarstwie jednakowo, a krowy... Ile mają krów?! — rzucił Mazan w stronę Banaszczyka, który miał już gotową odpowiedź, że pięć i jedną jałówkę.*

*—No tak — ciągnął przewodniczący. — Mówiliście inaczej... Może wam jedna zdechła? Wstyd Bogdalski, niemłody już jesteście, a takie się was trzymają dowcipy. A świnie zabiliście pewnie na święta, co?*

*— Syn zabił.*

*— A wzięliście udział w naprawie drogi w ramach zobowiązań pierwszomajowych?*

*Bogdalski miał już wyraźnie dość wszystkiego. Wgniótł papierek, trzymany w ręce do kieszeni i odwrócił się w stronę drzwi.*

*— No, to do widzenia.*

*Wyszedł śpiesznie i tak jakoś chyłkiem, że Mazan nie mógł się powstrzymać od śmiechu.*

*— Ma jeszcze c h o d y, stary. Jak to się uwinął z wyjściem, co?*

*Pytanie było wyraźnie zaadresowane do Banaszczyka i oznaczało lżejszy ton omówienia wizyty Bogdalskiego. Sekretarz jednak zamyślił się jakoś i powiedział z przymusem:*

*— Aleś mu dosolił... A skąd wiedziałeś o tej cebuli?*

**Henryk Jakóbczyk**

WOJCIECH DRYGAS

## „Zwycięstwo" w Radziwołkach

*PRZEDSTAWIENIE teatralne w Radziwołkach było swego rodzaju wydarzeniem politycznym. Miano grać sztukę w tej okolicy nieznaną nikomu, nawet ze słyszenia, której tytuł stanowił sam w sobie pewien program: „Z w y c i ę s t w o". Co do obsady, to wystarczyło chłopom obwieścić, że grać będzie sam dziadek Mateusz i ciotka Pilarska, i że resztę ról podzieliło wśród swoich członków przodujące koło zetempowskie. Ten fakt, osłaniany przez szereg tygodni tajemnicą, wystarczył, aby wzbudzić w Radziwołkach niebylejaką sensację. Bo trzeba wam wiedzieć, że dziadek Mateusz, któremu obracało się już na siódmy krzyżyk, z racji swych dolegliwości reumatycznych nie udzielał się już społecznie, zaś ciotkę Pilarską znano jedynie od strony jej zdolności krasomówczych, zwłaszcza, gdy usiłowała przekonywać niesfornego męża o zgubnych skutkach nadużycia wina porzeczkowego.*

*Na kilka dni przed zapowiadanym spektaklem w trzech punktach wioski, a mianowicie w witrynie sklepowej gminnej spółdzielni, na sołtysowskiej tablicy ogłoszeń i brumie wjazdowej do ośrodka maszynowego zetempowcy rozlepili barwne afisze. Wraz z nimi pojawił się nowy bohater, który wielkością swą przyćmił sławę zreumatyzowanego dziadka Mateusza i gadatliwej ciotki Pilarskiej. Tym bohaterem, opiewanym z nazwiska w samym środku okazałych plakatów — był autor sztuki.*

*Daremnie członkowie zespołu teatralnego usiłowali wyprowadzić chłopów z zasadniczego błędu, jakoby w osobie sołtysa gromady W a r m i ń s k i e g o miały się skupić dwie ważkie funkcje społeczne: cenionego autora sztuki i skądinąd poważnego w gminie i dalszych okolicach sołtysa. Takie tłumaczenia, że ten Warmiński od teatru — jest tym Warmińskim od teatru, a znowu sołtys Warmiński — jest naszym sołtysem w Radziwołkach, bynajmniej nie trafiały chłopom do przekonania. Bo i z jakiej racji? Spoglądali jeden na drugiego, mrużąc znacząco oczy, trącali się porozumiewawczo łokciami, lub po prostu pokładali się ze śmiechu. W żaden sposób nie pozwolili wydrzeć sobie ustalonej opinii o nadzwyczajnych zdolnościach literackich sołtysa, który przecież, jak żaden inny sporządzał bez błędów ortograficznych wszelakie wykazy, raporty i sprawozdania dla władz zwierzchnich. Jeśli wziąć przy tym pod uwagę, że w ich światłym mniemaniu większą sztuką było zakontraktować przez trzyhektarowe gospodarstwo osiem tuczników i pół hektara lnu, niż napisać prawdziwą sztukę w trzech aktach dla sceny gromadzkiej — zrozumiemy, dlaczego z takim niedowierzaniem przyjmowano wystąpienia demaskatorskie członków zespołu artystycznego.*

*W tej chwili trudno już zgłębić, kto był projektodawcą pomysłu, aby dla wzbudzenia większego zainteresowania, osobom występującym w sztuce, dać autentyczne nazwiska popularnych postaci chłopskich w Radziwołkach. Sztuce przez to nic nie ubędzie — zdecydowano — autora, bo daleko, serce nie zaboli. Projekt przyjęto z aplauzem.*

*Nie domyślał się dziadek Mateusz, któremu przypadło w udziale odtworzyć na scenie znaną powszechnie sylwetkę miejscowego kułaka Antoniego Klepczarka, że swą astmatyczną pierś wystawia na nieobliczalne w skutkach niebezpieczeństwo. Z naturalności gestu i wyrazu uczynił najstraszliwszą sztukę. Był tak wspaniale kułacki, że prawdziwy Klepczarek z widowni nie wytrzymał i piekłem gorejącym w duszy ryknął na cały głos:*

*— Zamknij się ty stary łobuzie, bo ci wszystkie zęby powybijam... A ino migiem, bo przylete tam po ciebie...*

*Bliżej siedzące kobiety pisnęły przeraźliwie, jakby się paliło, podniósł się tumult, nad rozstrzęsionymi nerwami widowni zapanował spokojny dziadek Mateusz:*

*— Poczkaj - no bratku, do trzeciego aktu. Tam się dopiero zobaczysz w całej okazałości. Poczkajno...*

*W tym samym momencie zabłysły światła i kułak Klepczarek zauważył pod ścianą sołtysa Warmińskiego.*

*— Mam cię draniu! — wyciągnął ku niemu rozczapierzoną dłoń. — Już mi nie ujdziesz! To ty wypisujesz takie rzeczy? Pomsty boskiej się nie boisz? Co, nie boisz się? — chrypiał przez zęby, przepychając się przez zbite kolana siedzących chłopów.*

*Sołtys zatrzepotał śmiesznie rękoma, jakby chciał powiedzieć „Rety, ludzie, co ja jestem winien, że nazywam się Warmiński? Co?" — i cofnął się o krok do tyłu. Przylgnął plecami do zimnej ściany. Obudziła się w nim czujność organu urzędowego, a z nią świadomość czynu:*

*— Wzywam was Klepczarek... — oznajmił surowo. — Wzywam was... — lecz w gwarze podniesionych głosów dalsze jego słowa zatraciły swój sens. Wciągnął więc w płuca głęboko powietrze, przygotowując swój nos na potworne zderzenie z wielką pięścią kułaka.*

*Ale nie, bo oto kolana chłopów zacisnęły się mocniej, Klepczarek stracił równowagę, wielka pięść opadła w dół i szukała oparcia.*

*— Puścić, psiekrwie, puścić!*

*Kolana były jak obręcze stalowe.*

*— Wolnego, Klepczarek — padały zewsząd wykrzykniki. — Na kogo ty się rzucasz? Na gromadę? Skąd ta śmiałość?*

*Kułak zsiniał ze złości, białka oczu nabiegły mu krwią.*

*— Nie na gromadę, — zaskamlał — na niego, pismaka fałszywego... Czemu pisze, że judzę na spółdzielnię? Albo ja to judzę? Albo ja taki zły?*

*Dziadek na scenie znów przyjął odpowiednią pozę, zastanowił się, od którego miejsca zacząć i huknął z góry: — My się jeszcze zobaczymy!*

*Ciotka (podchwytując dalszą treść sztuki): — Won stąd!*

*Magda: — Tośka, co się stało?*

*Ciotka: — Grozi mi jeszcze, łobuz jeden! Kułak! Ale, choćbym miała zdechnąć, to spółdzielnia będzie!*

*Z ostatnimi jej słowami, tak jak zaznaczono w sztuce, kułak, w kreacji dziadka Mateusza, wyniósł się szybko ze sceny — prawdziwy Klepczarek pod opieką strażaków z sikawką również opuszczał potulnie salę teatralną.*

*Koniec pierwszego aktu stał się prawdziwym triumfem. Powstali z miejsc, drżący, z wilgotnymi oczami chłopi i kobiety wybuchnęli burzą okrzyków. Wszystkie dłonie złożyły się do hucznych oklasków. Rozpromieniony dziadek Mateusz, stojący tuż za ciotką Pilarską, miał ochotę wziąć ją w ramiona. Cóż, kiedy nie wypadało — siódmy krzyżyk na karku..*

**Wojciech Drygas**

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel 7 52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i kolportaż: P P K „Ruch". Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel 804-20 do 25
Tel Red Nacz 727-86 Tel Redakcji 751 80 dod wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł, kwartalnie 9,—; półrocznie 18,— zł; rocznie 36,— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6342 110 z zaznaczeniem „za tyg „Wieś"
RSW „PRASA". Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-19104